Nr 52. We Lwowie dnia 28. grudnia 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

El...y.

(Odczyt J. Kasprowicza na wieczorku Asnyka).

III.

Przez szkła egotyzmu patrzał Asnyk w wcześniejszych okresach twórczości swojej także na przyrodę, wybierając sobie te szczegóły z jej życia, któreby się najlepiej nadawały do zestawienia ich z jego chwilowem usposobieniem. Szukał więc »kwiatu paproci«, który, zakwitając na jedną chwilę, będzie dlań symbolem młodości, co krótkotrwałymi ideałami swymi otaczający ją świat rozjaśnia.

Chodził pomiędzy stokrótki, a pospolitość ich wydała mu się dzięki temu samemu pryzmatowi w cudne ubrana kolory.

Melancholijne westchnienia, wijące się około wspomnień studenckich, łączył z powojem, co się piął około okna jakiejś wdzięcznej sąsiadki. W cichej nocy miesięcznej płynąc po jeziorze, odgadywał marzenia lilji wodnych i zlewając z niemi swoje i kochanki swojej tajemnicze lęki — obawy, jaki będzie los ich dwojga po śmierci, pocieszał ją i siebie uroczą muzyką słów:

»Może także nad tonią błękitną,
Tu, gdzie teraz rozmawiamy z sobą,
Takie lilje znów po nas wykwitną,
Naszych losów, owiane żałobą,
I w niebiosa patrząc się pogodne,
Będą o nas marzyć lilje wodne.

Niekiedy używał tworów przyrody jako środków do celów mniej eterycznych, mniej powiewnych — i wtedy twory te, jakgdyby traciły charakter symbolów, a przeradzały się, mimo świeżości, barwy i woni, które im poeta nadać usiłuje, w suchą, bezbarwną, bezwonną alegorję: bławatkiem posługiwał się dla uzmysłowienia naiwności dziewczęcia, a widok fijołków, ukrytych w trawie, wprost odrywał wyobraźnię jego od przyrody, służąc mu tylko do porównania go z oczami ukochanej, które mu się naturalnie wydały śliczniejsze od kwiatu.

Mimo wszystko, mimo wielkiego uroku, jaki na mnie wywiera cykl »Kwiaty«, powiedziałbym, że w tym okresie widnieje pewna chorobliwość w traktowaniu motywów przyrody, otaczanej przeważnie jakby mgłą sentymentalizmu, albo będącej zewnętrznym jeno środkiem artystycznym do zobrazowania chwilowych uczuć poety.

W jednym tylko wierszu z tego okresu spotykamy się z idealniejszem, szczerszem, głębszem, bardziej wewnętrznem obcowaniem z naturą, mianowicie w »Dzwonkach«, gdzie nastrój zbliża się do nastroju w niektórych obrazach tatrzańskich. Jest w tym poemaciku mimo aluzji miłosnych — stopienie ducha jednostki z duchem wszechświata. Jest akord, przypominający myśl cyklu sonetów »Nad głębiami«, akord o niezniszczalności wszelkiej treści bytów, a więc i człowieka, który nie umiera, a tylko w zmienionych kształtach żyje dalej śród ogólnego ruchu nieskończoności.

Na widok dzwonków czuł poeta, jak »niszcząca i razem twórcza władza« — nieśmiertelna potęga boża, roztapia go w ogromie światów, jak mu »dla ducha toruje drogę«: i widzi siebie w każdej drobince i »wszędzie myśl swą dawną znajduje, a jedną cząstką ponad grobami wybiega na świat kwiatów oczami«.

Myśl ta, spotęgowana jeszcze, powraca w wspaniałej »Nocy pod Wysoką«.

Atoli i w obrazach tatrzańskich — należących bezsprzecznie zarówno pod względem poetyckiego malowidła, jak i poetyckiego nastroju do najcudowniejszych emanacji siły twórczej nietylko w piśmiennictwie naszem, lecz wogóle w literaturze powszechnej, nie zawsze duch przyrody wolny jest od zewnętrznych łańcuchów, nakładanych nań przez poetę. I tutaj od czasu do czasu widzimy sprzęgnięcie tego ducha z obrazami, nie wynikającymi ani z zewnętrznego otoczenia, ani z zespolenia ich z czysto wewnętrzną treścią duszy ludzkiej. W tak pięknem, majestatycznej grozy

pełnem malowidle, jak »Morskie Oko, harmonję potężnych granitów, odzianych płaszczami borów, błyszczących w słońcu lub poświacie księżycowej, harmonję głębi wodnej, wichrów, przelatujących nad nią, dalekiego szumu potoków, psuje wprowadzenie bóstw mitologicznych, których walki, stoczone w zamierzchłej przeszłości, znalazły zobrazowanie swoje w tym wielkim poemacie natury, w tej potężnej Mahabharacie czy Eddzie zielonego jeziora. Aluzje do jakichś ewolucyj kosmicznych byłyby tu — tak mnie się przynajmniej wydaje — bardziej na miejscu, olbrzymie wrażenie, jakie utwór ten wywiera, do groźniejszych jeszcze wzrosłoby rozmiarów. Ale ostatecznie są to drobnostki, znikające wobec innych czarownych szczegółów tych obrazów.

Nasuwa się mimowoli pytanie, jakiej metody używa El...y w traktowaniu natury? Jest to jednoczenie impresjonistycznego malowania z nastrojem w ten sposób, że poeta odtwarza nasamprzód barwami swemi otaczający go świat zewnętrzny. Niebotyczne szczyty, różnorodnymi mieniące się kolory, stosownie do pory dnia, w której je widzi oko artysty, ciemne, w mgły zasnute lasy, siklawy szumiące, limby, wyrosłe na skał urwiskach, wiatr, królujący na sinych krawędziach złomów — oto najgłówniejsze motywy jego obrazów.

Wprowadziwszy człowieka tym sposobem w odtworzony przez siebie świat zewnętrzny, zaczyna poeta oddziaływać na niego swoim nastrojem. A nastrój ten w treści swej różnego jest rodzaju. Widok tych wspaniałych, tych rozlicznych szczegółów, w jeden wielki zlewających się obraz, budzi w poecie zachwyt dla wieczystej myśli twórczej, wywołuje w duszy nieokreślone tęsknoty, każe tej duszy »gonić sen piękności«, roznieca chęć wzlatywania ponad chmury codziennego życia, uderza w struny dumy, unoszącej się nad rzesze poziome, zajęte powszednią walką o chleb, obudza lęk przed nieznaną mocą, przed »tajnem«, »nieujętem«, albo wreszcie, wolny od wszystkiego, co ziemskie, »wolny, choć prawom powszechnym podległy, duch jego »ulata w sfery gwiazdziste, nurza się w źródle wiecznie żywem, wiąże się i zlewa i brata z całą harmonją zaziemskiego świata«. Kto chce napoić wzrok swej duszy barwami i blaskami obrazu, a właściwie szeregu obrazów, jak w kalejdoskopie przesuwających się przed oczami, ten niechaj sobie przeczyta »Kościeliska«, a kto razem z poetą chce uspokoić swą duszę, chce zanurzyć ją w powszechnej ciszy, kto swój spokój chce zlać z spokojem natury, ten niech zagłębi się w przecudownej symfonji »Nocy pod Wysoką«.

To głębokie zajęcie się przyrodą sprowadziło go na tory filozoficznych rozmyślań nad treścią zagadnień ogólno-ludzkich, których tak potężny wyraz znajdujemy w cyklu »Nad głębiami«.

Poeta, który widział »prądy powietrznych orkanów i w błyskawicach bijące pioruny, wstrząśnienia lądów, wybuchy wulkanów i zórz północnych zakrwawione łuny« — poeta, który widział wszystkie żywioły tej ziemi, jak się nawzajem potrącają w biegu, jak wybuchają ogniami złotemi i w nowych zjawisk powstają szeregu, jak się spychają i cisną i wiążą« — poeta ten przyznaje się, że »napróżno wyciągał dłonie, aby wszystkie te siły ułowić na przyrody łonie«, próżno chciał każdą wydzielić z wszechświata, ażeby przed nim stanęła skrzydlata i, w niewzruszone ujęta granice, wypowiadała bytu tajemnice«. Więc też, chcąc »za niemi dotrzeć do tej głębi, gdzie wir pierwotnych żywiołów się kłębi«, począł »zwolna ziemskich ciał budowę na jej cząsteczki rozbierać składowe«.

A do jakiego doszedł tej pracy rezultatu? Oto do syntezy najgłówniejszych prądów filozofji naszej epoki, do wyłuszczania prawd następujących: Duch ludzki, jak to poeta przekonał się i na samym sobie; daremnie zatapia się w bezdenne otchłanie wszechświata za słabym świeci on promieniem, aby mógł je rozjaśnić.

Im bardziej rośnie blask wiedzy, to mroki kosmiczne stają się coraz to większe, coraz to głębsze.

W tej nocy wieczystej czuwa tylko bezustannie Duch świata i wysnuwa z siebie nić przyszłych istnień.

Drobną cząsteczką tych bytów i my jesteśmy, poddani mocy wspólnych sił, rządzących i światem i ludźmi.

Nie ma nieśmiertelności formy, jest tylko nieśmiertelność treści.

Przeszłość nie wraca w dawnej postaci jednak nie umiera, zmienia tylko miejsce, czas i nazwisko — jednem słowem świeże przybiera kształty.

Wszystko, co jest, w jeden wspólny spływa ocean; wszystkie byty łączy on wzajemną od siebie zależnością, dzięki której ludzie i narody odpowiadają »każdy za wszystkich, wszyscy za każdego«.

Ludzkość powinna dążyć do poznania prawdy przez miłość, a nie na drodze krwawych wybuchów, gdyż miłość jedynie odbudowuje to, co złość zburzyła.

Tak złe, jak dobre wspólną jest wszystkich zdobyczą; wszyscy uczestniczą w ciężkim dorobku wieków, wszyscy znoszą następstwa i dobrego i złego.

Człowiek jako jednostka marnym, bezsilnym jest atomem i dopiero w związku z wszechświatem rozszerza granice swego bytu, nad którym władnie śmierć. Ta atoli nie jest zabójcą, a tylko tworzycielem nowych kształtów.

Śmierć to »postępu chorąży«, co »świat na nowe prowadzi tory, wschodzącym kiełkom usuwa zapory i z rzeszą istot w nieskończoność

dąży«. Smierć to prąd życia, który »naprzód i wyżej« porywa z głębi bezwiedne atomy.

Wszystko łamie konieczność — smutnym jest bezsilny koniec żywota, a właściwie jego przeżywających się kształtów, ale większy smutek sprawia widok człowieka, czy społeczeństwa, gdy się pozbywają swej siły duchowej.

Prawdy powyżej streszczone, nie są dla umysłów, filozoficzne posiadających wykształcenie, nowością; Asnyk potrafił atoli, jak nikt z współczesnych pieśniarzy, ująć je w całość harmonijną i całość tę opromienić blaskiem głębokiej a porywającej wyobraźni. — »Nad głębiami« to jeden wielki łańcuch refleksji, która, w dawnych utworach El...y'ego czasem oschła i, mimo lotnych strof co do ich zewnętrznego kształtu, poniekąd ciężka, stała się tutaj prawdziwie poetyczną, w górę rwącą potęgą Dla rozmaitych krytyków naszych, majaczących o bezpośredniości uczucia, jako o niezbędnym warunku »prawdziwej« liryki, jest cykl sonetów tych nowym dowodem, że wszelkie formułki, stawiane poezji, mogą być dobre dla tych właśnie krytyków, ale nie dla poezji. Liryka bezpośrednia, czy »przecedzona przez filtr« refleksji, pozostanie zawsze liryką, jeżeli będzie wypływem istotnego natchnienia.

W końcu myśl poety opuszcza wyżyny spekulacji i przemieniona w uczucie, ogarniające miłością człowieczeństwo, schodzi na pole życia jednego z odłamów tego człowieczeństwa, drogiego sercu poety narodu naszego.

Cykl kończy się apostrofą do Polski, która dopóty nie zginie, dopóki żyć w niej będzie »myśl swobody, wola i godność i męztwo człowiecze«.

Dziś jej byt polityczny w mogile, z której wstanie ojczyzna, choć nie taką, jaką była dawniej.

»Musi ona zatracić nie jeden rys miły i wdzięk, w dawniejszym uwielbiany czasie«. Musi ona »nową postać wziąć i nowe siły i nowych wieków oręż mieć w zapasie«... »Przystrojona w królewski djadem« musi »do życia wkroczyć życia bramą«, musi być inną, choć będzie tą samą«.

Oto w najogólniejszych konturach system filozoficzny, społeczny i narodowy El...y'ego.

IV.

Należałoby tutaj — zwłaszcza stronę społeczno-narodową uzupełnić bliższymi szczegółami. Ze względu jednak na jej wielkie znaczenie aktualne kwestja ta wymagałaby osobnego studjum. Przypominam więc tylko jeszcze kilka najgłówniejszych rysów.

Przeciwko ludziom wogóle, jak i przeciw własnemu społeczeństwu zwracało się niejednokrotnie spragnione ich dobra serce poety. Raziły go chłód, jałowość otoczenia, pod którego wpływem tracił nawet wiarę w ukochane przez siebie ideały braterstwa i swobody, w tę swoją »czarodziejską baśń tęczową«. Wiek XIX był dlań nauczycielem zgrozy i nicości, szyderczo patrzącym na ofiary idealniejszych uniesień i pragnień; pod brzemieniem nędzy moralnej tego »wieku bez jutra, wieku bez przyszłości«, chciałaby nawet zamilknąć lutnia poety.

Własnej ojczyźnie, »frymarczącej krwią Messalinie« ciska w oczy zarzut odstępstwa od dążeń szlachetnych; krwawy rok 63, w którym sam brał udział, wywołuje w nim uczucie rozpaczy i poczucie niemocy. Satyra, zgrzyt ironji i szyderstwa rozpierają się w niejednym z jego utworów.

Atoli z biegiem czasu dusza jego do pogodnej przychodzi równowagi, tęskni, przejęta wielką miłością i ludzkości i własnego narodu, za jutrznią, któraby rozlała światło swoje po ziemi, »nowego życia spragnionej«. W zgodzie z postępowymi prądami nowoczesnymi wskazuje ziemi tej potrzebę zdobycia jak największej sumy wiedzy, każe dążyć do prawdy i piękna, każe czcić w przeszłości to, co było w niej dobrego.

Otoczywszy aureolą ideje, które wywołały ruch styczniowy, stawia nam przed oczami wizję ojczyzny w groźnie odmalowanej postaci króla Lira i jako na wybawiciela z dzisiejszego upadku wskazuje na niezwyciężoną potęgę ludu. I za to należy mu się cześć największa!



W PĘTACH

przez

Wacława Sieroszewskiego (Sirko).

8)

(Ciąg dalszy).

Cisza. Tylko w przepaści Ałdanu kołyszą się parte lody, z brzękiem tłuczonego szkła sypią się iglaste szczątki ich poszczerbionych krawędzi. Rzeka jęczy, jak gdyby od wysiłku zrzucenia z siebie tej kryształowej powłoki. Gasną ostatnie promienie dnia. Z nieba pada mrok coraz gęstszy.

Od strony rzeki przyleciało stado kaczek, szumiąc skrzydłami. Obleciały jeziorko, nad pniem wzbiły się w górę i uciekły.

— Dostrzegły... — pomyślał Aleksander, tuląc się do drzewa.

Po chwili ujrzał kilka cyranek, siedzących na drugim końcu wody i znowu kaczki, ciągnące od strony rzeki. Szybko zakrył twarz czapką, by ich nie płoszyć, ale wieczorem w lot strzelać nie chciał — prochu żałował. Czekał cierpliwie. Tymczasem światło gasło i coraz niewyraźniej widać

było przedmioty. Już tylko w srebrzystych smugach zorzy mógł dostrzedz cośkolwiek. Gdzieś w dali gęgały gęsi. Para łabędzi uniosła się ponad zębatą krawędzią czarnego lasu i skierowała się ku rzece.

— Z górskich jezior.. Musiał je niedźwiedź wypłoszyć... — pomyślał.

Z wyprężoną szyją, uderzając zgodnie wielkiemi skrzydłami, płynęła majestatycznie królewska para. Chwilę kołowała nad doliną i nad lasem, aż opuściła się niżej. Widocznie szukała miejsca dogodnego na nocleg.

Aleksander wstrzymał oddech; zapomniał o córce, o koniu, o roli — skupił się cały we wzroku...

Wtem, nagle, w gaju rozległ się tentent konia i dało się słyszeć wściekłe szczekanie Ajaksa.

Aleksander wyskoczył z ukrycia, płosząc kaczki, łabędzie i pędem puścił się ku domowi, lecz choć biegł prędko, tentent oddalał się coraz bardziej. Gdy wypadł na ścieżkę, zobaczył jeźdźca, uprowadzającego Wronego. Opanowała go taka wściekłość, że złożył się i palec położył już na cynglu, lecz w porę opamiętał się i zamiast strzelić, krzyknął tylko:

— Stój!... stój!...

Jakut odwrócił się i zobaczywszy broń, wycelowaną w siebie, puścił kantor. Zwolniony koń pobiegł dalej ochoczo, a jeździec rzucił się w bok i skrył w zaroślach. Po chwili ujrzał go Aleksander po drugiej stronie jeziora, jadącego spokojnie drogą. Zobaczył także, że znikł koń z przed jurty Żabiego Oka i domyślił się, kto był sprawcą porwania Wronego. Zarzucił więc broń na ramię i nie zwlekając, ruszył do sadyby Kapitona. Nim przybył tam, skończyła się krótka podbiegunowa noc i na opalowem niebie poranku już nowa paliła się zorza

W sadybie Kapitona wszyscy już spali; tylko pies powitał Aleksandra krótkiem szczekaniem z płaskiego dachu. Nikt nie wyszedł, nie ruszył się.

Nim próg przestąpił, Aleksander zdjął broń, i, nie bez wahania, powiesił ją według zwyczaju jakuckiego na kołku u wejścia.

W izbie rozlegało się głośne chrapanie. Daremnie kaszlał i stukał, nawet ogień na kominie rozniecił, obudzić ich nie zdołał.

— Ej! Kapitonie!... — zawołał wreszcie zniecierpliwiony, podchodząc do łoża gospodarza, osłoniętego skórzaną oponą z metalowymi brzękadłami.

— A... aa!... Kto tu? Kto woła? — odezwał się głos za zasłoną.

— Wstawaj!... Przyszedłem do ciebie z interesem.

— Do mnie? Może znowu bić zechcesz... Przychodź wednie!

— Bez żartów... Twój robotnik konia mojego uprowadził..

Milczenie.

— Konia, powiadasz, uprowadził!... Patrzaj go, zbója!.. Ja go bronić nie będę, przy sposobności daj mu dobrze po karku. Ot, jakich żartów pozwala sobie, nicpoń! Ale, czy tylko pewien jesteś, że to nasz robotnik? Złapali go, albo konia znalazłeś u mnie na podwórzu?...

— Przestań już.. sam kazałeś wziąć konia, wiem to dobrze i przyszedłem go odebrać.

— Skądże go wezmę? Tyś konia stracił, a jam stracił i konia i człowieka. Od wczorajszego wieczoru niema go u mnie. Pewnie się gdzie włóczy, gra w karty, wielki bo to nicpoń, ten mój robotnik. Zmuszony będę wygnać go. Żart żartem, ale ukraść konia człowiekowi, co jutro musi bronować, to trochę za wiele. Powiem ci: jutro wieczorem przyślę ci synka Mikołaja do pomocy... W dzień skwar, głowa chłopaczka zaboli...

— Nie, ty mi dziś, zaraz dasz konia; sam szukać pojadę.

— Konia?... Nie mam konia! Kto zgodzi się dać konia w taki roboczy czas? Jeszcze spróbujesz nim bronować, a nasze konie dzikie, nieujeżdżone... ciebie porani albo siebie zabije!... Nieszczęście!... Poradzę ci, cudzoziemcze: ty konia nie proś, a ja przyślę ci jutro synka Mikołaja..

— Zgoda i na to — odrzekł po namyśle Aleksander. — Tylko pamiętaj stary, że jeśli stanie się co memu koniowi, ty będziesz odpowiadał!

— Cóż mi zrobisz? Krajać mię będziesz?

Wysunął z pod zasłony chytrze uśmiechniętą głowę i spojrzenia ich skrzyżowały się.

— To się pokaże.

— Zuchwały jesteś, cudzoziemcze, ale... nic nie wskórasz!

Aleksander wyszedł. Cóż miał robić? Mógł poskarżyć się księciu, ale skarżyć się księciu było to samo, co skarżyć się Kapitonowi. Ich kłótnia nie wychodziła za granicę spraw rodowych. Tymczasem Aleksander widział potrzebę dać im odrazu poczuć, że żartować z siebie i krzywdzić się nie pozwoli; nie wiedział jednak co począć i mocno zadumany wracał do domu.

Słońce już stało nad parowem Ałdanu. Złote blaski wypełniały łożysko po wręby. Wysokie, lodem pokryte osypiska brzegów lśniły się i woda z nich kapać poczęła. Jasne promienie przestrzeliły pęki traw, łozy, rąbki krzewów, zwieszających się na krawędzi przepaści; wychyliły się ku nim z cienia wierzchołki sosen pochylonych, podmytych; skazanych na zagładę. Wyżej, na płaskowzgórzach słały się jeszcze mgły, panował zmierzch.

Aleksander szedł szybko po dróżynie, wijącej się wśród czarnych, świeżo wypalonych łąk i rozmyślał nad tem, gdzie ma szukać Wronego. Koń prawdopodobnie uciekł do stad, stęsknił się do nich w ciągłej robocie, a tabuny odeszły

w las, na odległe pastwiska, gdzie nie dosięgły ognie, puszczone w pobliżu domów dla zniszczenia jesiennych traw i nie wygubiły młodej zieleni. Niełatwo, więc było je znaleźć.

W sadybach, które mijał, wszyscy już spali, nie mógł więc pytać o radę i wskazówki. Nie wierzył im zresztą. Ale do jurty Toj, postanowił wstąpić na chwilę, gdyż usłyszał, przechodząc, jak drzwi skrzypnęły i zdawało mu się, że ktoś wyjrzał. Przeskoczył więc przez płot i spłoszył byka, z dużem drewnianem kółkiem w nosie, leżącego na środku dziedzińca. Bydlę sapnęło ciężko, podniosło się na nogi i nadstawiwszy kosmate uszy, patrzało ciekawie. Psy poznały go także i poczęły się łasić.

Gdy otworzył drzwi jurty, Toj, na pół naga, rozniecała ogień na kominie, ujrzawszy go, wstydliwie cofnęła się w ciemność.

— A co ojciec?... śpi jeszcze?

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale stary Stefan wysunął głowę z pod perkalowej zasłony.

— A czego? Chodzisz po nocy, kto cię nie zna, gotów pomyśleć, że oglądasz bydło lub spiżarnie... Z polowania wracasz? Zziąbłeś?... Kaczek dużo?

— Nie mam czasu na polowanie, spotkała mię bieda...

Nagle błysnęła mu myśl.

— Słuchaj Stefanie, wynajmij mi byka na dziś do bronowania.

— Do bronowania?... A twój koń?

Koń uciekł.

— Uciekł!... sam uciekł, czy jak?

Jakut usiadł, jak był, nagi, na brzegu pościeli i wlepił w niego oczy.

— Ta – ak! A co wczoraj robił u ciebie Kapiton? Wszakże był?

— Był. Naco ci wiedzieć?... Zresztą wiesz pewnie i niepotrzebnie pytasz. Lepiej byka wynajmij.

— Tego prędko nie zrobisz. Myśmy ludzie maluczcy. Mamy jednego byka. Jeszcze go zepsujesz. Przecie na koniach tylko jeździsz... a czy byka umiesz zażyć, nie wiadomo... Dlaczego nie poprosisz Kapitona o konia? On ma i chętnie da..

— Ciebie proszę a ty do innego odsyłasz!.. Przecie żyliśmy dotąd, jak dobrzy sąsiedzi, i ty nieraz korzystałeś... Jeśli dziś pola nie zabronuję, wrony ziarno wyzbierają... Nim konia znajdę, wiele czasu upłynie; swego szukać nie wiadomo gdzie.. W borze woda, błoto...

— Racja.. rozumiem... Ale i ty zrozum, że byka dać nie mogę... Dlaczego nie weźmiesz od Żabiego Oka?... Ja dać nie mogę... chyba, że weźmiesz przemocą, jak ziemię!...

— Przemocą nie wezmę, ale proszę cię bardzo... Odwdzięczę się... odpłacę...

— Odpłacisz?... Cóż mi dasz?... Wolnym jesteś człowiekiem, dziś — tu, jutro — tam, a sąsiedzi żywcem mię zjedzą... Nie, nie mogę!

Aleksander wstał; było widocznem że byka nie dostanie. Wyszedł na dziedziniec i był już koło wrót, gdy Jakut wyskoczył za nim i krzyknął.

— Liksandra... słuchaj! Daj trzy ruble i weź byka, tylko nie mów, że dawałem.

— Trzy — drogo. Rubla dam.

— Widzisz, jakiś ty! Mówiłeś — odwdzięczę się, a trzech rubli żałujesz. Zgoda, niech cię tam, daj rubla... A tylko pamiętaj: ja nie dawałem! — dodał pospiesznie, oglądając się na Toj, która wyszła ze skopkiem na dziedziniec.

Aleksander nieznacznie wręczył mu papierek.

— Cóż to, cudzoziemcze, siłą chcesz wziąć! Patrzcie, patrzcie, on istotnie chce byka zabrać! Ludzie! ludzie! Co za grzech! — lamentował stary, podczas gdy Aleksander łapał i uprowadzał byka.

Wydostawszy się za ogrodzenie, przełożył wodze od kółka między rogi bydlęcia siadł na niego po jakucku i pojechał. Śmiał się, lecz było mu przykro. Jakut zaś wciąż krzyczał:

– Ludzie, ludzie! patrzcie, co się dzieje! Nie szanują nas, Jakutów.

VII.

— Ojczulku, rośnie! doprawdy rośnie!... — wołała Zosia, schylając złotą swą główkę do samej ziemi, by spojrzeć pod światło na niwę. Widziała niedawno, jak ojciec robił to samo.

Aleksander stał oparty o płot i przyglądał się zbożu. Gęsta, soczysta ruń pokrywała już widocznie pole, ale też teraz właśnie ujawniały się po trochu wszystkie braki i omyłki w robocie. Widok ich sprawiał mu prawie ból, widok tych łysin i tych gęstwin, gdzie stały źdźbła niskie, wątłe i cienkie, jak niedokrwiste dzieci. Gniewało go to, a jednak nie było dnia, żeby nie odwiedził pola kilkakroć. Znał tu każdą trawkę, każdą grudkę ziemi; cierpiał od suszy, wiatru, chłodu, jakie dotykały jego rośliny, cieszył się z każdego deszczu. Coś nowego, ostrego i barwnego, jemu, mieszczuchowi zupełnie dotychczas nieznanego, weszło z tą niwą do jego życia, tak jak wraz z Zosią weszło do jego serca nowe uczucie... A oba były sobie pokrewne. — Zdarzało się, że w początkach swego ojcowstwa budził się, jakby trącony obawą i z niewytłumaczonym lękiem, z nierozumną trwogą nasłuchiwał, czy oddycha jego córeczka, czy nie umarła, czy nie chora... I cieszył się, że się nic nie stało, jak gdyby stać się coś było powinno. — Obecnie budził się nietylko dla córki. Niech tylko Ajaks się ruszył, biegł zaraz do okna i przyłożywszy twarz do maluchnego szkiełka śledził bacznie, czy czego nie widać. Gdy zobaczył przechodnia, wychodził przed dom i nie spuszczał go z oka, póki ten nie znikł. Alboż to trudno było złamać płot i puścić bydło? A Jakuci, czuł dobrze, gotowi byli porwać się na wszystko.

Jak zajmował go, zaciekawiał każdy nowy ruch w dziecku, każdy objaw nowej myśli, tak i tu, nic mu większej nie sprawiało przyjemności, jak w ciepły, słoneczny dzień wziąć Zosię za rękę i puścić się na poszukiwanie nowych na polu postępów.

Otwierały się przed nim rozległe widoki pracy bez kresu i końca; pracy, która nie była bólem, krzywdą, uciemiężeniem dla nikogo i pokrzepiający, cichy spokój wstępował do jego silnej, lecz trochę już znękanej duszy. Marzył, że tu zapozna się z rolą, a z czasem, w ojczyźnie, pod łaskawszem niebem, w milszem otoczeniu będzie uprawiał swój kawałek ziemi. I mieć nie będzie innych panów prócz wiatru, deszczu i słońca, innych stosunków prócz pomocy temu, co żyje i rośnie! Będzie miał pasiekę, moc kwiatów, sad... O ludziach nie chciał myśleć... prócz Zosi.

— Com miał, tom dał! Reszta moje!

I bez tego miał masę kłopotów i coraz to nowych.

Czekała go orka nowin, praca ciężka i trudna, o której myśląc, wzdychał często; trzeba było kończyć rąbanie żerdzi na płoty, gotować się do sianożęcia i przysposobić wszystko dla nadchodzącej pory rybółowstwa. W domu nie było herbaty, nie było białego końskiego włosia, bez którego sieci nie mogły być naprawione. Wszystko to można było dostać u Kapitona, ale przy obecnych stosunkach daremnie było tam się zwracać. Nietylkoby odmówił, ale jeszcze prawdopodobnie wyśmiał. Do innych udawać się też nie było poco.

Umyślił więc przeprawić się na drugi brzeg Ałdanu, odwiedzić Jakóba i prosić go o zakupienie potrzebnych rzeczy u sąsiadów.

Ałdan wracał właśnie po wylewie do zwykłego łożyska. Główne koryto i boczne odnogi pełne jeszcze były wody tętniącej gwałtownie, jak w gorączce krwią nabrzmiałe żyły. Nigdzie nie było widać ni żółtych piasków, ni kamienistych ławic; wszędzie urwiste brzegi występowały wprost z wody, a wieńczące je ciemne bory sosen, jodeł i modrzewi bez przeszkody przeglądały się w szarej, szybko pędzącej fali. Nadbrzeżne zarośla łozy prawie wszędzie stały jeszcze pod wodą, miejscami tworząc dziwne tamy - plecionki, przez które woda leciała z hałasem, spieniona i rozbita na tysiące strumieni.

Aleksander płynął wśród nich w swej małej łódeczce, czepiając się rękami za wierzchołki krzewów. Było to trochę niebezpiecznie, lecz skracało drogę. Sił oszczędzał, bo znał rzekę i wiedział, że nie żartuje, wybierał więc prądy słabsze, szukał smug cichych i spokojnych. Rzeka szalona, jedna z najbystrzejszych w Syberji wrzała od wirów małych i dużych. — Prąd porywał łódź, wypukła fala uciekała z pod wiosła i co chwila groziło niebezpieczeństwo uniesienia na spienione odmęty. Cały czas prawie płynął przeciw fali, więc zmęczył się bardzo i gdy dotarł do lesistego cyplu, głęboko wrzynającego się w wodę, skąd była przeprawa na drugi brzeg koryta, postanowił wypocząć. Wyciągnął łódkę i legł obok na trawie. Zwolna nadpływały wielkie kłęby siwych chmur ze srebrnymi brzegami; pod ich cieniem blask słońca to nikł, to zapalał się w wodzie, która szara, olbrzymia rozpostarła się szeroko jak morze, wzniecając podziw, budząc niepokój nieustającem, niczem niepohamowanem dążeniem. Nic jej wstrzymać nie mogło. Podarła na szmaty ziemię, pożłobiła odmęty, pokruszyła skały, usypała tysiące wysp i płynęła wśród nich błyszcząca, jak srebro, ogarniając je wszechwładnym uściskiem, bo one były jej pracą, jej własnością! Śnieżne wierzchołki niebotycznych gór wybiegły ponad sinawą przepaską dalekich lasów i przyglądały się wdzięcznie w jej wodach.

Aleksander nigdy jeszcze nie przepływał rzeki w tem miejscu bez przewodnika. U przeciwnego brzegu bystra, górska rzeka wpadała do Ałdanu prawie pod kątem prostym, tworząc duży i niebezpieczny wir, gdzie wiecznie pieniły się i huczały wysokie bałwany. Wprost niego wznosił się wysoki przylądek z grupą wysmukłych, nad krawędzią zwieszających się modrzewi. Między przylądkiem i wirem słabo znaczył się blady, wąski pas spokojnej wody. Aleksander płynął z oczami w niego utkwionymi: musiał. koniecznie musiał tam się dostać.

Tymczasem słońce paliło, mdlały ręce, pot zalewał czoło i oczy. Nie miał pewności, czy dobrze płynął, czuł tylko, że prąd unosił go w bok z niesłychaną szybkością. Przy takim stanie wody nawet Jakuci i rybacy niechętnie puszczali się na rzekę, więc poczynał już żałować swojej śmiałości. Coraz częściej w wianku syczących bąbli wypływały z pod łodzi potworne wodne pagórki, lotne wiry z głębi wywołane uderzeniem prądu o podwodne głazy. Suwał się z nich z zawrotną szybkością i zdawało mu się że był coraz bliżej tego miejsca, gdzie świstały i huczały rozszalałe bałwany. Łódka coraz mniej mu była posłuszną, coraz oporniej posuwała się naprzód. Nagle z boku wyskoczyły ogromne, jak bąble wzdęte fale, pianą jak posoką, oblanc i ryk, huk stał się ogłuszający. Łódka drgnęła i nachyliła się... poleciała prosto w okropny lejek, na dnie którego syczał wężowy splot nurtów. Aleksander wszystkie siły wytężył, wiosło wygięło mu się w ręku, jak słaba gałązka. W myśli zobaczył w tem miejscu surowe twarze jakuckich rybaków, i poczuł, że jego twarz staje się taką samą. Lękał się spojrzeć po za siebie, choć przykro ginąć, nie widząc.

(C. d. n.).



Ze śląskiej ziemi.

(Dokończenie).

Ale niełatwo wymienić wszystkich, którzy zaletami umysłu lub serca wybiegają ponad poziom szarego tłumu. Wywoływane siłą wspomnień, wychylają się z mgły — jedna po drugiej — coraz nowe postacie i w długim stają szeregu. Przoduje im cicha bohaterka, wdowa Urbaczkula, która, dzięki nadludzkim niemal wysiłkom energji, zdołała wyżywić bez ziemi, z pracy rąk jedynie, gromadkę dwanaściorga dzieci i w ciągu lat kilku łożyć na utrzymanie męża, nieuleczalną dotkniętego niemocą. A twarda z losem walka, w której zawsze umiała szalę zwycięstwa na swoją przechylić stronę, nie przygięła jej ku ziemi, nie zatruła duszy zniechęceniem lub goryczą, owszem podniosła ją, uszlachetniła, przyodziała majestatem cichej pogody, słodkiej powagi.

Zgoła inaczej wygląda ta oto *starka*, która i dziś, jak każdego dnia, *ciapka* się do kościoła na ranną mszę. Zdrobniała postać, twarz, okryta siecią gęstych zmarszczek, wiek, a nawet fantastyczna łochtuszka [1]), wszystko w niej przypomina Wieszczkę-Kruszynkę z romantycznej powieści Nodiera. Ale pomimo lata sędziwe, szron starości nie srebrzy jej włosów, nie mrozi, jak widać, krwi w żyłach, bo żwawo jeszcze uwija się po izbie, którą wzniosła przy pomocy dobrych ludzi cudem oszczędnej pracowitości. Ściany [2]) kupiła łacno [3]) od *miłosiernego* gazdy — takich nigdy nie brak w Izdebnem — za pieniądze, ciułane w ciągu trzech pokoleń, przez nią samą najpierw, potem przez syna, posła [4]) (!), nakoniec przez wnuka, pracującego we werku [5]). Na szendzioły [6]) natomiast nie wydała ani grosika. Podarowali je gazdowie, dając *po tela, po wiela kdo* mógł: po tuzinie, po dwa i więcej. — Jak każdy ze śmiertelników, ma i nasza staruszka achilesową piętę, która u niej mieści się w — podniebieniu. Odżywiając się przez całe życie lichemi okruchami, na wzór owej Wieszczki-Kruszynki, do której jest podobną, tak często zwracała myśl — dla powetowania smutnej rzeczywistości zapewne — w kierunku rozmaitych przysmaków, aż rozwinęła w sobie gastronomiczne upodobania.

W głodnych rokach [7]), kiedy *urody* nie było, a ludzie *hladali* pożywienia na *młakach*, za przysmak uważając ząbszcz, siemieniec, rzepiki [8]), ona najgorętsze do nieba zanosiła modły, aby *Pan Buczek* pozwolił jej raz jeszcze przed śmiercią skosztować sztuhanki [9]). A gdy pewnego razu — parę lat temu — zastała przypadkiem zamożniejszych sąsiadów przy mięsnem śniadaniu, zapach *pieczonki* [10]) tak mile połechtał jej powonienie, że rady sobie dać nie mogła. Nie upominała się o poczęstunek, bo Izdebnianie do prośby poniżać się nie umieją, starała się nawet ukryć stan swej duszy, ale ślina wydzielała się jej tak szybko, że wciąż musiała ją łykać, bo „stary człowiek jest jako *dziecien*. Nic nie pomógł nawet środek najniezawodniejszy w takich razach: zatknięcie za *fortuszek*, z lewego boku, wielkiego palca prawej ręki po uprzedniem umaczaniu go w ustach. Opuszczając już izbę sąsiadów, czuła ból *w dołku*, a wróciwszy do domu, rozniemogła się na dobre i parę tygodni w łóżku przeleżała. I dziś jeszcze, patrząc ze spokojem mężnej duszy w zbliżający się zachód, chciałaby wszelako doczekać — nim wieczna zapadnie noc — urzeczywistnienia marzeń całego życia, a mianowicie: zużytkować — choć raz jeden, jedyny na potrzeby domowe mięso browka [11]), którego odkarmiają co roku, ale po to, aby sprzedać w Jabłonkowie — i zaoszczędzić tyle *krajcarów*, aby przyodziać na śmierć w nowe kyrpce wyschłe, okryte bliznami stopy, które przez ośmdziesiąt kilka lat krwawiły się *bosko po skolach*.

Drobna postać miłej staruszki jeszcze mniejszą się wydaje w zestawieniu z wybujałą, jak smukła brzoza, Halszką [12]) Kohotulą, wymownicą [13]). I tej droga życia nie słała się różami. Znać to po cierpiącym wyrazie bladawej twarzy, o subtelnych, delikatnych rysach, znać po ruchach powolnych i przyciszonym głosie. Kohotula zapomina wszelako o licznych troskach i ożywia się do niepoznania, gdy zacznie mówić o ulubionych przez siebie roślinach. Posiada ogromny zapas obserwacji w tym kierunku: zna nazwy setek roślin, rozumie się na ich leczniczych własnościach, opowiada o niektórych czarem poezji owiane legendy. Bieglejszej, słowem, od niej botaniczki Izdebne nie posiada.

I na Franciszku Kobieluszu każdy przybysz zatrzymałby wzrok przez chwilę, choćby dlatego, że rasowy z niego góral: wzrostem przewyższa wszystkich sąsiadów, a smukłością postawy przypomina smreki, w gęstym wyrosłe borze, ma też *czorne* oczy i *pokrentawe* włosy, opiewane w izdebniańskich *bojtkach*. Ale i z innych względów — nietylko dla typowej powierzchowności — zasługuje Kobielusz na uwagę: synek jego — wraz z synkami Sikory, Kukuczki, Gazura i dwóch jeszcze gazdów — uczy się w polskiem

---

[1]) Płachta z białego płótna, którą góralki zarzucają zamiast chustki na ramiona. [2]) Belki.

[3]) Tanio. [4]) Sługę gminnego. [5] W fabryce. [6]) Gonty.

[7]) Od 1846—48. [8]) Oset górski — carlina accaulis.

[9]) Ziemniaki rogulom pobite, a szperkom omaszczone. [10]) Pieczeni.

[11]) Wieprzka.

[12]) Elżbieta. [13]) Dożywotniczka.

gimnazjum w Cieszynie, on zaś sam, jako piastujący z woli i wyboru sąsiadów godność sałasznika [14]), zna się wybornie na prawach zwyczajowych, rządzących pasterstwem, które niegdyś stanowiło główne zajęcie górali.

Typowym, arcy typowym jest i ten drugi góral, co przesuwa się w ślad za Kobieluszem. Szeroki pas skórzany opancerza go jak gorset, z pod zsuniętej mycki baraniej wymykają się długie włosy. W lewej ręce trzyma obuszek, prawą przytyka do ust otwór olbrzymiej, trzymetrowej trąby o głosie tura, której grubszy koniec wspiera się na konarze buka — i jak archanioł w dzień sądu ostatecznego, gra głośną pobudkę:

Pójcie, pójcie haw gazdowie!
Przyszli haw mieszkarze
Uż owieczki rzezają,
Syreczek papają (jedzą)!
Pójcie haw hutniuczko (prędziutko),
Bo uż ich maluczko!

To Haratyk, stary owczarz, co od lat czterdziestu przesiaduje na Mładej Horze. Ten dopiero rad mówi z ludźmi, ile razy spuści się ze swych wysokości! Ust zamknąć mu nie może nawet groźba sałasznika, że za każde powiedziane słowo potrącą mu społecznicy [15]) po krajcarze z pensji.

Chętnie puszcza się do gadki i Michał Juroszek od Wojtaszów, jeden z najsympatyczniejszych przedstawicieli starszego pokolenia, które ostrzyło swój umysł bardziej na ustnej literaturze ludowej, niż na zaczernionej bibule. Juroszek dźwiga już siedm krzyżyków na barkach, ale głowę pomimo to niesie wysoko, niby jeleń, a na świat patrzy młodemi oczyma optymisty, który we wszystkiem i wszystkich tylko dobro, prawdę i piękno dostrzega. Plastyczna gwara góralska nabiera w jego ustach tem większej siły i wyrazistości. Poglądy swe na przyrodę i świat ludzkich stosunków — zawsze słuszne, niekiedy bardzo głębokie — ujmuje w formę zdań jędrnych, posiadających wszelkie zalety przysłów ludowych. Oryginalność jego stylu wówczas atoli najżywszym jaśnieje blaskiem, gdy ulegając prośbom, zacznie snuć z pamięci szumne kroniki [16]). Umie ich mnóstwo i opowiada chętnie, z żywem przejęciem się treścią, wybuchając przy zabawniejszych ustępach głośnym, dźwięcznym, szczerym śmiechem dziecka...

Eureka! Jest-że co lepszego od cudownych bajek i śmiechu w taki szary, zimny, przesycony melancholją dzień? A więc nie hladając dłużej, zaburzmy chutniuczko do dwierzy Michała Juroszka:

— Stuk, — stuk, — stuk!

M. Wysłouchowa

---

[14]) Zarządcy sałaszu, jak w śląskich górach nazywają tatrzańskie hale, karpackie połoniny.

[15]) Współwłaściciele sałaszu.

[16]) Piękne bajki.

Rozbiory i sprawozdania.

Stanisław Schnür-Pepłowski: Krwawa karta. Opowieść z przeszłości Galicji. Lwów 1896.

Wiele względów złożyło się na to, że „Krwawa karta“ z przeszłości Galicji, tj. rzeź chłopska z r. 1846 jest po dziś dzień jeszcze „ciemną kartą“ w historji naszej prowincji. P. S. Pepłowski poświęcił tej chwili dziejowej rozprawę, którą omawiamy. Bardzo dokładnie podaje autor różne fakta mniej lub więcej straszne, które zdarzyły się na tle rzezi szlachty galicyjskiej przez chłopów... ale ma ta rozprawa, równie jak wiele innych tego rodzaju prac p. Pepłowskiego, tę wadę, że autor nie cytuje źródeł, z których czerpie, a przecież czerpie z nich widocznie wiele — nawet bardzo wiele. A szkoda — bo gdyby p. Pepłowski źródła swe choćby w formie spisu takowych podawał, to praca jego zyskałaby wiele na swej wartości dla historyków, zmuszonych nieraz do smutnych poszukiwań tego, co pan Pepłowski już znalazł i jako fakt podaje. A przecież... krytyczna historja nie może zadawalać się czerpaniem z literatury, tj. np. z prac p. Pepłowskiego, a nie ze źródeł danej kwestji. Uwagi te nasunęły mi się przy ocenie „Krwawej karty“ tem bardziej, że niejednokrotnie uderzyła mię przy czytaniu tej rozprawy pewna niejasność — ba niepewność w przedstawianiu poszczególnych wypadków, to znów czasami — powtarzanie się. Usterki te są zdaniem mojem bezpośrednim wynikiem braku odpowiedniej krytyki źródeł i ich zestawienia, a chociaż — p. Pepłowski, pisząc swą rzecz więcej fejletonowo, nie był do takiej wymaganej dziś w historjografji krytycznej ścisłości obowiązany, to jednakże tem bardziej — powinien był swe źródła zacytować.

Tyle o brakach rozprawy p. Pepłowskiego; dobrą jej stroną jest żywe, obrazowe przedstawienie omawianego przedmiotu — przy czem jednak należało koniecznie zgłębić więcej, aniżeli to autor uczynił, różnorodne przyczyny, które rzeź w r. 1846 wywołały. Agitacja „demokratów“ polskich wśród szlachty i skierowana przeciw nim kontragitacja rządu wśród mas chłopskich przedstawione są prawdziwie i plastycznie... ale nie należało zapominać także, że wśród samych chłopów, nagromadzony był materjał palny przeciw szlachcie, który z taką gwałtownością wybuchnął, o jakiej chyba twórcy rzezi nie myśleli. Agitacja wszelka jest wogóle dopiero wówczas w skutki plenną, jeśli pada na ziemię urodzajną.

Dr. K. I. G.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.

W PĘTACH

przez

Wacława Sieroszewskiego (Sirko).

11)

(Ciąg dalszy).

Uderzył wiosłem raz, drugi; łódź wybiegła i wdzięcznie zakołysała się na spokojnej wodzie. Prąd odwrotny poniósł ją łagodnie we właściwym kierunku. Białe, wodne straszydło daremnie kłapało zębami!

Rzucił wiosło, otarł pot z czoła i roześmiał się. Ogarnęło go znowu to miłe uczucie, jakie daje świadomość zręcznie pokonanego niebezpieczeństwa.

W godzinę później przybijał do urwiska, którego wierzchołek porosły był ciemnym, posępnym lasem, a na stoku biegła drożyna. Wyciągnął łódź na brzeg, w dzióbie jej zatknął krzyżyk — na znak, że będzie wkrótce potrzebna, wiosło zabrał, schował w zarośla i ruszył w las.

Jurta Jakóba leżała o dwie wiorsty od brzegu. Droga do niej wiodła przez gęsty bór, do brzegów czarnego jeziora; potem zawracała pod ścianę lasu, który jak pierścieniem obejmował wodę, a posłuszny jej zagięciom, łamał się w ciemne zaklęsłości, jasne sine przylądki, bladł, im dalej odbiegał, stawał się coraz bardziej płowym. Miejscami spuszczał się do samej wody i rzucał na nią cień czarny; to znowu wąziuchną niteczką żywej zieloności rozweselał posępne brzegi. Nigdzie jednak nie było widać wyjścia z tej kotliny; wszędzie była tylko woda i knieja.

— Co za głusz!... Och, ci Jakuci, jakie mu miejsce wyznaczyli!... — pomyślał Aleksander, okrążając jezioro. Ptactwa też nawet nie było; czasem tylko na krótko, kwiląc żałośnie, ukazywała się biała mewa z nad rzeki. Legjony komarów roiły się nad trawami i zmusiły Aleksandra pędem uciekać do jurty, która, niska i zaniedbana, pojawiła się nareszcie na skręcie drożyny. Ziemia osunęła się z jej ścian i dyle, sterczące pionowo, świeciły na zapadłych bokach, jak żebra przegniłego tułowia.

Wchodząc do wnętrza, znalazł się Aleksander w najzupełniejszej ciszy i w zmroku; ogień tlił się tylko na kominie.

— Wyszedł! nikogo!...—szepnął półgłosem Aleksander. — A to rudera!

Mylił się jednak. Na ławie leżał człowiek na wznak, z wyciągniętymi wzdłuż ciała rękami. Słaby blask dzienny przenikał do izby przez brudny, rybi pęcherz w małem okienku i kładł żółto siną barwę na obrzękłą twarz śpiącego, który usta miał otwarte i oczy tak zapadłe, że aż przestraszył Aleksandra.

— Umarł!.. Jakóbie!... krzyknął wielkim głosem.

Jakób oczy otworzył i zerwał się.

— Śpisz... wciąż śpisz!... A serce?... Przecież ci zabronili.

Jakób nie witał go, nie odpowiadał, oczy weń tylko utkwił i siedział nieruchomo.

— Sen mara! — wyrzekł cicho.

Drżały mu ręce, dolna szczęka, całem ciałem wstrząsały drgania.

— Co tobie?... Czyś ty chory?

— Nie... ze snu!... Ludzi dawno nie widziałem... ze dwa tygodnie. Zaraz przejdzie — uśmiechnął się. Nie uwierzysz, jak rad jestem twemu przyjściu! Tęskno, strasznie tęskno! Zrzuć twoją amunicję. Pójdę po wodę; pewnieś bardzo spragniony...

Schwycił imbryk i począł się krzątać. Aleksander zawiesił broń i czapkę na kołku i wyszedł za nim.

Jakób zgarbiony, opuściwszy na dół głowę i ręce szedł wolno drożyną z powrotem. Postawa jego wyrażała takie przygnębienie i taką bezgraniczną tęsknotę, że serce Aleksandra ścisnęło się boleśnie.

— Zająłbyś się czemkolwiek... choćby ryby łapać. Chcesz, zarzucę ci wędki. Zawszeć to rozrywka.

— A dobrze — zarzuć! Lecz tu takie nieznośne komary, że nawet dymu się nie boją. Bywa tak, że nosa na dwór pokazać nie można.

— Niegodziwcy Jakuci! Taki zapadły kąt, że i kruk tu kości nie zaniesie. Wierzaj mi, z nimi lepiej być ostro, sprawiedliwie, ale ostro...

— Och, Aleksandrze, jakżeś ty się zmienił! Niedawno jeszcze mi mówiłeś tak. Czyż nam przystoi wojować z dzikimi?... Rok wcześniej, rok później... — cokolwiek lepiej lub gorzej... a z tych kłótni i sporów może coś brzydkiego przylgnąć nazawsze... Już to, że z naszej przyczyny przysięgają krzywo, że łżą, intrygują, już i to przykro..

— Czy znowu co nowego?

— Więc nie wiesz? Chcą ci szkaradny proces wytoczyć. Mówią, żeś groził i wymyślał na zebraniu przedstawicieli gminy, że teraz drogi z bronią strzeżesz, przejezdnych straszysz, złego psa trzymasz, że zabrałeś ziemię, chciałeś zastrzelić robotnika Kapitona, że..

— Cóż jeszcze?... — spytał z uśmiechem, zauważywszy, że Jakób miesza się i czerwieni.

— Że podczas nieobecności Meilacha zachodziłeś do jego jurty... Rozumie się, wszyscy wiedzą, że żona jego jest do gruntu zepsutą kobietą, ale... popełniłeś omyłkę, dając jej pieniądze...

Aleksander czas jakiś przechadzał się w milczeniu po izbie.

— Co za łotry!... A zresztą niech sobie robią, co chcą. Wstyd nawet bronić się wobec takiego oskarżenia.

— Właśnie... Tymczasem bronić się będziesz musiał.

Aleksander machnął ręką.

— Ee! Jakoś to się zrobi! Gdybyś wiedział, jak zboże moje wyrosło! Najlepsze w okolicy. Sami Jakuci przyznają... Pnie się jak na drożdżach. Mierzyłem: po dwa cale na dobę przybywa...

— A Zosia?

— Zdrowa. Gospodarujemy razem. Obecnie dokuczają komary, więc ją w domu zostawiam lub odprowadzam do jurty Żabiego Oka, ale wszędzie zemną chodziła Wiesz, Jakóbie, poco ja tu przyjechałem? Herbaty nie mam, zabrakło mi soli, nici, włosia do sieci...

Twarz Jakóba wydłużyła się i oczy spojrzały smutnie.

— Ależ nie... nie! — roześmiał się Aleksander. Mam pieniądze. Zostało jeszcze trochę od sprzedaży rzeczy. Tylko widzisz.. niezręcznie iść do Kapitona. Odmówi. Więc... chciałem ciebie prosić, byś kupił u swego księcia. Tylko spiesz się. Chciałbym wrócić jak najprędzej. Niepokój mię ogarnia, gdy długo Zośki nie widzę... Dobrze? pójdziesz?... A ja tymczasem odpocznę.

VIII.

Koń Aleksandra całe lato zazwyczaj pasł się razem z jakuckimi tabunami. Co dni kilka Aleksander odszukiwał go i przypędzał pod dom, jeśli znajdował pasącego się zbyt daleko. Tak robią wszyscy tutejsi gospodarze. Wspólne stada pod wspólną zostają opieką; jest to zwyczaj od wieków przyjęty.

Mimo obostrzenia się stosunków Aleksandrowi nie przyszło nawet do głowy, że mogą ukraść mu konia. Szukał go więc długo, nim uwierzył, że go więcej nie zobaczy i wówczas dał znać do kniazia.

Kniaź przyjął go nadzwyczaj uprzejmie, wydał natychmiast dziesiętnikom rozkaz rozpoczęcia poszukiwań i obiecał tam pojechać.

— Trzeba było trzymać konia bliżej domu. Rozmaici ludzie chodzą po drogach.

— Nie mogłem przecie przywiązać go do kołka: zdechłby z głodu i tęsknoty. Dwa lata chodził z tabunami i nie zginął.

Książe wzruszył ramionami.

Przeszukali las, zrobili rewizję u kilku sąsiadów i nie wykryli najmniejszego śladu. Wszyscy się oburzali i wreszcie zgodnie napadli na Żabie Oko.

— On, nikt inny tylko on. Posłuchaj, Liksandra — on! On twój najbliższy sąsiad.

— Ptak nie przeleci, żeby Jakut nie zauważył go, cóż dopiero koń... — dowodził Tus. — Myślę, że koń nie mniejszy od ptaka.

Żabie Oko wypierał się, wyprzysięgał.

— Darmo wypierasz się, stary! Kto ci uwierzy?... Gębę lepiej wytrzyj, gdyż swieci się od końskiego sadła!...

— Mówiłem ci dawno, wynos się stąd. Na co czekasz?... krzyknął na niego książe.

— Przecie koń nie tutaj chodził.

Aleksander słuchał w milczeniu tych sporów.

— Zapłacicie mi za konia! Nie zapomnę ja wam tego... — rzucił gniewnie.

— Czy podobna zapomnieć?... Koń taki był ukochany, jak dziecko, wszyscy o tem wiemy... Niech płaci... On zapłaci, nikt inny!... wskazywali palcami Żabie Oko.

W kilka dni potem Aleksander zobaczył Żabie Oko ładującego swoje manatki. Pobiegł więc tam zaraz, ale daremnie perswadował mu i tłómaczył.

— Nie posądzam cię ani trochę, Zostań, proszę!

— Ty nie posądzasz, ale oni co zechcą, to zrobią!.. A zresztą ja nie dla tego, ale... czas kosić siano. Mam łąki daleko na wyspach i muszę wykoczować z całym domem. Na jesień wrócę... obaczysz, wrócę...

Lecz widocznem było z niektórych rzeczy, że Jakut wrócić nie zamierzał. Zabrał nietylko ramy okienne, obciągnięte pęcherzem, ale i drzwi, z desek sklecone.

Po jego wyjeździe wyludniło się dokoła Aleksandra na kilka wiorst w promieniu. Mijały tygodnie, że nie widzieli z Zosią ludzkich twarzy, gdyż czas był roboczy i przechodnie pojawiali się nadzwyczaj rzadko.

— Bądź grzeczna, Zosiu! Wszyscy wrócą, konia kupimy i Majka przyjdzie bawić się z tobą. Bądź tylko cierpliwa i nie dokuczaj mi! — uspokajał marudzącą dziewczynkę.

Siana skosił tyle, ile znalazł w pobliżu domu. Nie mógł oddalać się z domu na długo, a dziecka brać w las lub na łąkę nie pozwalały upał i komary. Słońce paliło niemiłosiernie; ziemia kurczyła się i pękała od jego promieni; w lasach było nie do wytrzymania duszno, — żywica występowała obficie i sączyła się po korze drzew, przepełniając powietrze upajającą wonią. Wszystko szukało cienia, w południe kryły się nawet owady. Woda w Ałdanie to opadała, to wznosiła się, zależnie od śniegów, tających w górach. U brzegów, gdzie woda cicha i ciepła — gromadnie żerowały ryby. Aleksander zajął się skrzętnie ich połowem. Miał niedaleko, o wiorstę, miejsce dogodne dla rybołówstwa: niedużą, ze wszech stron zacienioną łachę. Otaczał ją gąszcz wysokiej, prostej jak bambusy łoziny, tworząc wianek z platynowo szarej, kędzierzawej zieleni ich czubów, który w głębi wód ciemnym odbijał się obrazem. Nad łoziną, na brzegu, gdzie wyżej

i suszej, szumiały gałęziami złotawo-zielone modrzewie i strzelały tu i ówdzie ostre, prawie czarne wierzchołki syberyjskich jodeł. Srebrzysta wstęga wąziutkiego odpływu łączyła zatokę z rzeką, odsłaniając siną dal i ogromną, szarą płaszczyznę wiecznie ruchliwej wody, gdy w zatoce panował spokój, którego nie mogła zamącić nawet burza szamocząca gałęziami strzegącej ją gęstwiny, do środka której zaglądał tylko błękit nieba, słońce i księżyc. W świetlanych tych smugach lubiły drzemać potworne ryby, żarłoczne tajmenie i szczupaki, snuły się roje migoczących srebrnymi łuskami, ruchliwych łososi, modra ostro-nosa sterlet podpływała do brzegu i wysuwając pyszczek swój, do macki podobny, zbierała glisty, robaczki i wpadłe do wody korzonki Tu wodne męty opadały najwcześniej, a powódź najpóźniej przynosiła swe brudy. Miejsce było bardzo dla rybołóstwa dogodne.

Sieci miał pięć. Trzy w dzień zarzucał, dwie suszył. Ryby łapać nauczył się od krajowców, tak jak i wszystkiego, co umiał praktycznie. W rzeczach nieznanych doświadczenie kazało mu trzymać się rutyny. Więc do czasu przyjął na wiarę miejscowe zwyczaje, sposoby, nawet niektóre przesądy.

Wierzył naprzykład, że wypuszczona z rąk ryba straszy i uprowadza inne, gdyż przekonał się istotnie, że w miejscu, gdzie taki zdarzył się wypadek, długo potem nic się złapać nie dawało; wierzył także, że rzucone na dno ostrze żelaza źle wpływało na połów i, że najlepiej zarzucać sieci na nowiu. Nieraz, cicho płynąc łódką lub leżąc przyczajony na brzegu, ścigał oczami stada podwodnych mieszkańców, widział jak każdy z nich pilnie naśladował ruchy przewodników przebiegłych, ostrożnych, bojących się wszystkiego, co nowe, widzących doskonale swoimi nieruchomymi oczami bez powiek. W obyczajach ich zauważył wiele rzeczy niewytłómaczonych i tajemniczych. Całymi gromadami to pojawiały się, to znikały, to weseliły się pluskały, pokrywając całą rzekę drobnymi zmarszczkami, to znowu przepadały gdzieś, na dnie odmętów, gdzie w ciszy leżały bez ruchu, jak kłody. Czasami poprzedzało to deszcz, burzę, niezwykły skwar lub wietrzny czas, lecz także niekiedy zjawiało się zupełnie bez powodu. Bywały dni, gdy dawały się łowić obficie i dni, gdy żadna nie wpadła do sieci, choć mnóstwo igrało i pływało w pobliżu. Miały one swoje radości i swoje trwogi, swoje podstępy, wybiegi i bitwy. Wierzył nawet w rybią rozpacz, gdyż zdarzało mu się wyciągać olbrzymy, co zupełnie wolne z rozpaczy chyba usypiały, chwyciwszy zębami włos sieci, nie puszczającej ich na głębię.

Doświadczeni rybacy radzą oglądać sieci zawsze przed wschodem słońca. Ryba nie lubi blasku dnia, widzi oczka i póty będzie się rzucać i kręcić aż się wyplącze i ucieknie. Istotnie, we dnie najczęściej Aleksander wyciągał sieci puste i splątane. Więc zawsze rano, przed wschodem słońca wstawał ostrożnie, by nie obudzić Zosi i wysuwał się na dwór. Po skwarnym dniu, noce bywały zimne i rosa padała obficie. Łąka, przez którą wiodła ścieżka do sieci, wydawała się, jak usypana perłami. Na każdej gałązce, trawce wisiała kryształowa kropelka, liście przyprószone były drobniuchnym ich pudrem, w kieliszkach kwiatów leżały duże, przeźroczyste łzy barwne, jak topazy. Aleksander szedł zawsze boso, a obuwie nakładał z powrotem, gdy nogi miał zmęczone i zziębnięte. Chłodny prysznic spadającej z traw i kwiatów rosy siekł mu stopy, rozkoszny dreszcz życia i siły prostował tylko co ze snu zbudzone członki. Na ramieniu przewiesił broń, za pas wetknął nóż, a w koszu na plecach niósł świeżo wyporządzone sieci. Za chwilę miał być tam, gdzie pluskała się ryba. Jak cień, bez szelestu przesuwał się przez łozinę, broń zdjąwszy z ramienia i zawiesiwszy u wejścia do gęstwiny. W zatoce lubiły nocami przesiadywać kaczki, kilka razy zastał też i gęsi, więc nie wchodził, nie przeniknąwszy bystrem wejrzeniem wszystkich zakątków śpiącej wody, nad którą rankiem unosiły się zawsze białe opary.

Słońce złociło już brzegi zielonej opaski, wiatr poranny dmuchnął od rzeki i zakołysał unoszącymi się nad nią mgłami, gdy rybak zepchnął łódź i popłynął ostrożnie, miarowo uderzając dwu-skrzydłem wiosłem. Dziób łodzi chylił się, łagodnie rozbijając powierzchnię wód. Aleksandra paliła ciekawość: Co znajdzie w sieciach? co mu przyniosła noc? Pierwszy rząd pływaków z kory brzozowej drgnął, potrącony falą. Rybak odwiązał koniec sieci od taczki i zaczął zbierać na palec górne pętlice. Pusta, czy nie? Coś w niej drga i opiera się, ale to może tylko gałęź, która ugrzęzła na dnie. Już blizko. Nie!... Nagle wśród wody mignął czerwony ogon, na wierzchu ukazała się szeroko rozwarta zębata paszczęka i zagotowało się u burty. Jeśli to była bardzo duża sztuka, która mogła łódeczkę wywrócić, Aleksander spuszczał sieć i odpływał na mieliznę. Tam wychodził z łodzi, ostrożnie wyciągał zdobycz i ogłuszał ją silnem uderzeniem. Drobniejsze ryby wydobywał na miejscu i rzucał na dno łodzi, gdzie tłukły się długo. W łasze poławiały się zwykle duże ryby, ale w małej ilości. Czasami dwa, trzy dni minęło, nim się coś złapać udało. Od czasu wyjazdu Żabiego Oka zdarzało się to coraz częściej, gdyż Aleksander raz tylko na dobę sieci zakładał. Jeśli sieć długo stała nieporuszona, ryby przestawały igrać i pływać w tej stronie: odstraszały je pławniki, sznurki i oczka. Zatoka mało posiadała rybnych mielizn, a nowych szukać było niepodobna z powodu znacznej odległości. Parę razy tak się zdarzyło, że zatrzymawszy się dłużej nad rzeką, za powrotem znalazł Zosię przed domem, szlochającą i nieubraną. Gniewał się na nią, ale to nic nie pomagało.

— Głodna jestem, tatusiu i sama — usprawiedliwiało się biedactwo.

Tymczasem ryb coraz mniej było; zapasy żywności wyczerpywały się: mąki zostało tylko trochę, a mleka nie widzieli już od wyjazdu sąsiadów. Na domiar złego Jakuci zauważyli widocznie, że rzadziej bywał na zatoce i zaczęli płatać mu figle, wyciągać i plątać sieć, raz nawet spuścili czółno na wodę; uprowadzić go nie mogli gdyż było tak małe, że obawiali się siąść do niego, ale zepchnęli je na rzekę. Aleksander długo szukał, nim je znalazł, zaniesione prądem daleko i wyrzucone na brzeg. Niezmiernie go to zmartwiło i oburzyło.

— Doprawdy, lepiej rzucić wszystko i oddać się wyłącznie wychowaniu córki!

Zaśmiał się gorzko. Czyż mógł się łudzić? Znał dobrze krajowców; wiedział, że mu nie dadzą nawet tego, co obiecali, jeśli się przekonają, że im to uchodzi bezkarnie, nie przestaną psocić mu, póki się go nie pozbędą. Zmieniły się powody do walki, ale ona sama nie przerwałaby się, a życie jego stałoby się życiem nędzy, głodu i upokorzeń, jak tych kryminalistów, którzy okazali lękliwość, lub których osłabiło kalectwo. Już lepiej zabić siebie i dziecko! A wyjeżdżać do miasta nie było dostatecznych powodów: niewątpliwie kazaliby mu wrócić. Od tych myśli posępnych sposępniała i twarz jego: był tak smutny, że aż Zosia zauważyła to i próbowała go pocieszać.

W tym właśnie czasie Ajaks, który dla braku pożywienia dawno już był zostawiony swemu własnemu przemysłowi, przyniósł do domu kawał zgniłego mięsa. Czarna sierść na skórze, zwróciła uwagę Aleksandra, zaczął więc śledzić psa i znalazł wkrótce w głuchym ostępie na pół z ziemi wykopane trochę objedzone i dobrze zgniłe: głowę, skórę i nogi Wronego — to co najłatwiej w czasie rewizji mogło wydać złodzieja. Pokonał wstręt i podniósł za ucho zbrukaną głowę przyjaciela swego i współpracownika. Miała ona bardzo smutny wyraz, dolna warga była obwisła, zęby kurczowo zaciśnięte, a w oczodołach roiło się robactwo. Ślizka, wilgotna, wysunęła mu się z dłoni i napowrót w jamę upadła. Wytarł rękę o trawę i odszedł pośpiesznie, nie zawoławszy nawet Ajaksa, który czegoś zawstydzony krył się w krzakach. Czuł, że mu się zbiera na płacz. Konia tego kupił młodym, nieujeżdżonym źrebakiem i długo był on razem z Ajaksem jedynym towarzyszem jego wygnania.

— Niegodziwcy!... niegodziwcy!... — powtarzał. — Otóż nie! nie dam ja się wam!

I znowu o różnej porze dnia i nocy przechodnie zaczęli spotykać na swej drodze silną, barczystą postać z bronią, przewieszoną przez ramię.

— Cóż ten szatan rosyjski nie śpi, czy co? — mówili — Włóczy się dokoła swego pola i swoich sieci, jak niedźwiedź dokoła barłogu.

On im nie groził, nie upominał, tylko przeprowadzał każdego długiem, przenikliwem spojrzeniem, a nieznajomych pytał krótko:

— Kto? Skąd i dokąd?

— Niech Bóg uchowa! Kto inny zrobi, a ty odpowiesz! — straszyli się wzajemnie krajowcy, opowiadając sobie o spotkaniu z nim. Jadący, dostrzegłszy go, potrząsali żwawiej batem i zbierali cugle; piesi zdaleka zdejmowali czapki i zbliżali się lękliwie, kiwając głowami.

— Tem lepiej! Rozumieją tylko strach, niech go więc czują.

I nie wzruszała go bladość twarzy ludzi, znienacka w lesie zaskoczonych, drżenie ich wargi, strachem rozszerzone źrenice; nie ściskało mu się serce, jak niegdyś, bolesnem uczuciem, że go nie znają, nie pojmują. Nie zbliżał się więcej do nich z łagodną perswazją.

— Byłem i jestem im życzliwy — mówił teraz — lecz dzicy są, muszą się bać.

Usprawiedliwiał ich nawet do pewnego stopnia, przypominał sobie słowa kniazia, dowodził samemu sobie, że są warci szacunku, ale poprzedniej, ciepłej, serdecznej przychylności, już nie czuł. A gdy chciał wcielić ich do szeregu tych wszystkich, nad losem których cierpiał i za których duszę niegdyś oddawał — serce jego wyniośle milczało. Nie był w stanie przebaczyć świadkom, a poczęści i narzędziom swego poniżenia. Nie mógł im darować rozpaczy swojej na widok sieci, na brzeg wyrzuconych i głodu, zaglądającego w oczy, nie mógł im zapomnieć zbrukanej głowy zabitego konia. Obrzucili go błotem, obwinili o wstrętne przestępstwa, wyciągnęli mu duszę, jak strunę... Nie!... Niech cierpią! Niech także czują!... Lecz poco? naco? dlaczego? Co oni winni? i co za korzyść z tego?

Myśli takie precz odganiał, rozumowań takich nigdy nie lubił.

— Winnych niema, a są przeszkody i — nie mam wyjścia!

Lecz do jakiegoż wyjścia zmierzał? Bo to był przecie początek. Pierwszy raz przychodziło mu walczyć w obronie własnych interesów i widział się zupełnie odosobnionym. I używał takich samych sposobów, co wyrzutki społeczeństwa, którzy także nie mieli wyjścia i straszyli Jakutów. Cóż z tego, że on obiecywał być innym w przyszłości. Czyż krzywda kiedykolwiek przestaje być krzywdą?

W głowie jego zasiadło mrowisko gryzących myśli, które głuszyła tylko praca ciężka i łowy. Przestał się uśmiechać, wychudł i poczerniał. A praca była dla niego męczarnią, gdyż oddalała go z domu i wskutek tego skazywała na ciągłą trwogę.

Z tem wszystkiem Zosia coraz częściej zostawała sama w jurcie. Aleksander wytężał siły

w poszukiwaniach pożywienia, aby tylko przetrwać jakkolwiek do żniwa. Plecioną przegrodą zamknął odpływ łachy i postawił więcierz, a sieci przeniósł na inne miejsce. Próbował nawet zarzucić je w jeziorze, obfitującem w karesie, ale wprędce zaniechał tego, gdyż znalazł współzawodnika w niedźwiedziu.

Razu jednego, gdy się był dłużej nad łachą zabawił, usłyszał w lesie głosy jakieś niezwykłe. Chcąc zajść drogę szkodnikom, jak przypuszczał, ostrożnie przekradł się przez zarośla i stanął na ścieżce. Trzask gałązki, łamiącej się pod jego nogą, uciszył głosy, ale w zaroślach przesunęło się jakieś duże, kudłate cielsko. — Czyżby mój współzawodnik, aż tu mię ścigał? — pomyślał sobie Aleksander. Zdjął więc broń, i czuł, że mu serce mocniej bić zaczyna. Miejsce było ciasne i niedobre do walki Gdyby chybił, zwierz powaliłby go, nim by zdążył nóż z pochwy wyciągnąć. Nagle krzewy rozsunęły się i wyjrzała z nich poczciwa głowa Ajaksa.

— Ajaks, ty tu!

Pies rzucił się ku niemu, a tuż za nim, wśród zielonych gałęzi, ukazała się złota główka Zosi.

— I ty także!... Co to znaczy? — krzyknął przerażony.

— Tatusiu, tak dawno cię szukam!... Komary tak gryzą!

— Niedobre dziecko!... niedobre! Dlaczego wyszłaś z domu?

— Ojczulku, tak nudno, tak strasznie nudno!... Nie gniewaj się ojczulku... Przecież znalazłam ciebie...

Dziecina, mówiąc to, uśmiechała się i była taka śliczna, że ojciec uchwycił ją i zaczął obsypywać pocałunkami.

— Brzydka, nieposłuszna dziewczynka!... Martwisz mnie... Bóg wie, dokąd zajść mogłaś...

— I ty mnie martwisz... Przychodzili Jakuci, o ciebie się pytali...

— Cóż mówili?

— Nic nie mówili, tylko do spiżarni zajrzeli, zboże oglądali, siano ..

— Dobrze, niech patrzą. Nic nam od nich nie trzeba. Siadaj!

Posadził ją sobie na ramieniu i ruszył nad łachę kończyć zaczętą robotę. Na brzegu rozniecił ogień i dziecko obok niego umieścił.

— Siedź, nie ruszaj się, inaczej zaraz do domu odprowadzę.

Brał ją potem jeszcze kilka razy ze sobą, ale to utrudniało mu bardzo swobodę ruchów. Trzeba ją było nosić, w łódce trzymac na ręku, gdyż kręciła się i wychylała. Nie ważył się też przepływać z nią wirów i bystrych wodnych spadzistości, ale na brzegu zostawiać jeszcze bardziej się lękał. Kto mógł zaręczyć, że nie wpadnie do wody, nie zsunie się z k.awędzi urwiska, nie stanie się pastwą niedźwiedzia, który mógł również niespodzianie ukazać się nad rzeką. Więc nie miał ani chwili spokoju.

Upały wzrastały, ziemia rozgrzewała się do tego stopnia, iż parzyła nawet przez obuwie. Woda w rzece gwałtownie opadać zaczęła. Z obnażonych trzęsawisk, z ogrzanych głębi wydobywała się zgnilizna. Aleksander czuł, że wdycha malarję, gdy pochylony nad wodami, przeglądał sieci. Siły opuszczały go widocznie, głowa bolała często. Dziecka, rozumie się, nie brał już więcej ze sobą. Zamykał ją na klucz, a wracając, słyszał nieraz, jak zanosiła się od płaczu w pustej izbie.

— Choćbyś mi Ajaksa zostawił — prosiła.

Zostawiał więc Ajaksa i zamykał oboje, choć go żywienie psa na większe narażało wydatki. Nieraz po całych dniach włóczył się po lesie za zwierzyną. Kaczęta były jeszcze zbyt małe i starki strzegły je pilnie, nie wypuszczały z sitowia. Bez psa nie można było ich wypłoszyć, a Ajaks nie był ułożony do polowania; kuropatwy i cietrzewie odleciały w góry na jagodniki, nie było więc zwierzyny blisko w milczących borach. Ryba też nie dopisywała w płytkich zatokach; trzeba było szukać miejsc nowych. Drobna poławiała się jeszcze, choć w nieznacznej ilości. Gotowali z niej zupę, suto zaprawną dziką cebulą. Miał jeszcze wprawdzie trochę pieniędzy, ale odkładał je na czarną godzinę, na ostatnią potrzebę, a ta według niego jeszcze nie nadeszła.

Tymczasem zwykła o tej porze spiekota i posucha dochodziła ostatecznych granic. Deszczu nie widziano już ze trzy tygodnie. Ziemia wyschła i rozpalona, jak cegła, ogrzewała powietrze nawet w nocy. Rosa nie pojawiała się wcale; trawy spopielone zrudziały i uschły, lasy opuściły senne, przerzedzone konary; wszędzie wkradał się i wszystko rdzawił gorzki, lotny pył. Siwa mgła przysłoniła dal. Od kniej wiało gorącym, niezdrowym aromatem, od bagien i jezior zgnilizną. Tylko rzeka oddychała świeżością; odzywała się wdzięcznym szmerem; lecz i ona skurczyła się, obnażając olbrzymie ławice. Zboże tymczasem rosło i rozwijało się słabo.

Nakoniec suche tumany wypełzły ze swych kryjówek i pokryły okolicę płowym welonem. Pod ich zasłoną jasne dni i przejrzyste noce zlały się w jedną szarą, potworną całość. Słońce czerwone, bez blasku przesuwało się nad ziemią, jak księżyc w noc mglistą. Powietrze nabrało cierpkiego smaku i stało się gęste, jak wata, do płuc nie przenikało, w ustach więzło, w gardle dusiło i drapało. W popielatej mgle wszystko wydawało się popielatem. Ptactwa nie było wcale widać: umilkła kukułka, nawet wrony przestały latać. Ludzie i zwierzęta ruszali się niechętnie, leniwo. Kwiaty rozwarły spragnione korony. Ni kropli rosy, ni najmniejszego wiatru

podmuchu... Dzień i noc jednakowo gorące i ciemne!

Tak minęło kilka dni.

I znów poziom Ałdanu bystro podnosić się zaczął: ostatnie śniegi musiały stopnieć w górach. Woda płynęła brudna i mętna. Ryby zupełnie przestały się łowić. Aleksander powiesił sieci na kołku. Jeszcze miał solonej ryby na dni kilka.

— Jedz, córko — oddawał Zosi co lepsze. Dziewczynka jadła niechętnie niezdrową strawę, bladła i chudła. Sam on dawno już nie dojadał i ledwo trzymał się na nogach.

— Nie! Trzeba z tem skończyć! Nie doczekamy się chleba... Trzeba pójść...

— Przedtem jednak udał się raz jeszcze nad rzekę, by zobaczyć, czy woda nie opada. Wszędzie jeszcze wisiały gęste, płowe tumany, ale wrażliwe jego zmysły łowiły już coś, co wróżyło odmianę. Wylew był wstrzymany, od rzeki wiało świeżością. Stał długo i patrzył na bełkoczące pod mgłą nurty. Można już teraz było sutego spodziewać się połowu i to lada dzień. Przetrwają, byle tylko kupić trochę żywności u sąsiadów. Broni można jeszcze było nie składać!

Postanowił iść zaraz. Lecz wahał, się czy wziąć dziecko, bo czuł, że go nie udźwignie Pięć wiorst drogi! I przytem może nie zastać Jakutów.

— Córuchno, córeczko droga!... nie płacz, nie tęsknij, posiedź spokojnie... Ja zaraz wrócę... Masła, mleka ci przyniosę... kaczątko małe zabiję... Dobrze dziecinko?... Ajaks z tobą zostanie, baw się z nim... Ale nie płacz, nie ruszaj nic... Nie lękaj się... Ja wrócę prędko...

— Dobrze... ojczulku... tylko przychodź niedługo.

Wyszedł i zamknął ją na klucz. Odchodząc, w okno jeszcze raz spojrzał i zobaczył bladą twarzyczkę Zosi, która, stojąc na ławie, kiwała mu główką i dawała znaki paluszkami.

— Bądź zdrowa, dzieweczko! — zawołał z uśmiechem, a Ajaks w głębi domu odszczeknął mu w odpowiedzi.

Zarzucił broń na ramię i ruszył w drogę. Dostanie cokolwiek pożywienia, choćby z pod ziemi miał je dobyć! Ta nadzieja wróciła mu energję i siły. Szedł szparkim krokiem po znanej drożynie. Nad łąkami unosił się lekki wietrzyk i kołysał tumanami, a choć nie mógł ich rozproszyć, niósł ulgę i świeżość zmęczonym płucom. Mgła jednak widocznie rzedniała, opadała, wsiąkała w ziemię. Na wschodzie coś ciemnego, bezkształtnego wysunęło się z za gór.

— Ach, żeby to był deszcz! Za dwa tygodnie mielibyśmy żniwo... Nie pójdę do księcia... daleko!

Wszedł do pierwszej z brzegu jurty! Nie było w niej nikogo, ale cielęta na podwórzu, naczynia, leżące na ławie i na stole i obraz święty pod pułapem, były dowodem, że mieszkańcy nie wynieśli się z chaty. Zaczął więc szukać i znalazł w oborze babę, śpiącą na ziemi. Zbudził ją i wywołał do jurty.

— I ktoś ty, i czego potrzebujesz? — spytała, odgarniając z twarzy kosmyki siwych włosów. Była prawie naga i nie wstydziła się swojej nagości. Brudne, cuchnące jakieś strzępy miała na szyi i ramionach prędzej jako upiększenie, niż odzież. Ciemna, pomarszczona skóra wisiała na niej, nogi były cienkie, w pałąk zgięte i drżące, ręce chude z zakrzywionymi, krogulczymi palcami, trzęsły się także.

Aleksander cofnął się: jeszcze nigdy takiej nędzy nie widział.

Patrzyła nań wyblakłemi, zaropiałemi oczyma i powtarzała bezmyślnie:

— Nic nie mam.. Nic nie wiem... Jestem głupia, jestem stara!...

— Gdzie ludzie?...

— Wykoczowali... na wyspy. Wszyscy na wyspach.. siano... Została stara.. Została niedołęga!... — Pokazała ręką, jak koszą i grabią.

— Mleko masz? sprzedaj!

— Wszyscy poszli... pracują... siano... A ja nic nie wiem... Jestem głupia... Byłam gospodynią..

— Cóż jesz sama? Podziel się... Ja ci zapłacę... Czy znasz mię? Jestem Liksandra z zachodu...

— Wszyscy poszli... siano... pracuj... Nic nie wiem, nic nie mam... — powtarzała coraz niewyraźniej, trzęsąc rękami i głową.

— Czy został kto z sąsiadów?

— Nic nie wiem... nic nie mam... dużo lat... pracuj... siano...

Aleksander wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

W sąsiedniej jurcie na pewno byli ludzie, ale obawiali się. Na stole stała niedopita filiżanka ciepłej herbaty, leżały okruszyny drobnej ryby i drewniany rożen, na którym była pieczona.

Wołał długo, ale nikt się nie pokazał. Musiały być same młode kobiety i bały się wyjść do niego.

Udał się do następnej jurty: ta była także pusta. Widocznie wszyscy wyszli do sianożęcia. A więc wyłamie zamek pierwszej lepszej spiżarni, weźmie, co mu potrzeba i zostawi za to pieniądze. Nie może przecież umrzeć z głodu. Była to jednak ostateczność, której wolałby uniknąć. Skierował się więc ku Toj, której rodzinę lepiej znał i na szczęście zastał w domu.

Wejściem swojem zrobił widocznie wrażenie. Wszyscy podnieśli się z miejsc, a chłopak wyrostek wyskoczył na dwór i krzyknął na kogoś. Stary gospodarz siedział przed ogniem.

— Sapsie!... Powiedz, cudzoziemcze, co słychać? Po co przyszedłeś?

Aleksander nieproszony siadł za stołem. W głowie czuł zamęt, w całem ciele osłabienie.

— Nakarmij stary, jestem bardzo głodny!

— Mój Boże, taki pan! taki łowiec! Dawno nie jadłeś? Toj, podaj sąsiadowi misę mleka.. Niech pije! Zbrakło i nam pokarmu: przerwał się połów na rzece, a na jezioro chodzić nie można — sianożęcie! Czasu nie starczy... Ale zawsze bydło mamy... Wielka to pomoc bydło... Głodujemy, ale nie umieramy!...

— Sprzedacie mi, spodziewam się, trochę mleka i masła.

— Sprzedać?...

Stary zamyślił się.

— Dlaczego nie sprzedać?.. Możnaby sprzedać, ale... nie ma! Zakazano sprzedawać. Gromada kazała odsyłać cię ze wszystkiem do księcia... Idź do niego; po co masz kupować? on ci darmo da. Nie możemy nie słuchać. Za byka wtedy co ja miałem, aj! aj! Nie uwierzyli, że przemocą wziąłeś.

— Nie uwierzyli, a w skardze napisali. A ty pozwoliłeś!

Stary się zmieszał.

— Cóż miałem robić? Pisarz skargę pisał. Cóż ja mogłem zrobić? Alboż wiedziałem, co napisał? Jestem, jak wiesz, niepiśmienny.

— Dobrze, dobrze! Mniejsza z tem. Lecz nie odejdę stąd bez jadła!

— Cóż, siedź! Izba duża, kąta nie ubędzie. Siedź, a tylko ja słuchać muszę... Idź do księcia. Ja nic nie poradzę, jak inni, tak i ja... podwładny jestem...

Mrugnął znacząco i głową wskazał na wchodzącego robotnika.

— Do księcia daleko. Nie mam gdzie córki zostawić. Żabie Oko wyprowadził się.

— I to prawda... ale sprzedać nie możemy...

— Więc pożycz lub podaruj trochę...

Jakut zamyślił się.

— Nie.. nie ma!... Poradzę ci: jutro córkę przynieś do nas, a sam idź do księcia. Będziesz miał wszystko... Tak myślę!

Aleksander brwi zmarszczył i zdawał się rozważać.

— Zgoda! — rzekł, westchnął i podniósł się. Był może z dziesięć kroków za wrotami, gdy z za węgła wyskoczyła Toj z wiaderkiem.

— Bierz, Liksandra, bierz, tylko nie gadaj! Wiaderko zwróć, nie połam...

Nim spostrzegł, co było w naczyniu, dziewczyna uciekła. Przyniosła mu trochę kwaśnego mleka — »sorat« i kawałek żółtego masła.

Przed chwilą czuł wielkie rozżalenie, teraz mu coś w duszy pękło i oczy napełniły się łzami. Chciał oddać datek, chciał go powiesić na słupie u wrót, ale się rozmyślił i zabrał.

— Dobra dziewczyna!...

W nadziei upolowania kaczki, którą Zosi obiecał, wybrał się z powrotem inną drogą, dokoła jeziora, okrągłego jak talerz. Obszerne, czarne zwierciadło wody stało puste i nieruchome w zielonej oprawie szuwarów. Coś tam pluskało się w sitowiu, lecz milkło, skoro Aleksander się przybliżał. Próbował straszyć tyczką, ale chowało się jeszcze głębiej. Czas upływał na daremnych wysiłkach. Wreszcie kilka jakichś głupszych widocznie kacząt wysunęło się na gładką wodę, ale na widok głowy Aleksandra, wznoszącej się nad trawami, dały napowrót nurka w gęstwinę. Pozostało jedno tylko pisklę, które tak bardzo kwiliło i tak było małe, że Aleksander pożałował naboju. Tembardziej, iż starka wypłynęła na kraj sitowia i ostrożnie głosem i ruchem starała się pisklę przywabić. Podpełznął nieznacznie ku niej, wlazł na pień powalonego drzewa, przygotował broń i chrząknął. — Cisza, poczem dał się słyszeć słaby plusk, trwożne, cichutkie kwakanie i stara kaczka wypłynęła cokolwiek dalej na wodę; zatrzymała się i, wyciągnąwszy szyję, zaczęła uważnie to jednem okiem, to drugiem oglądać brzeg. Ale w tej właśnie chwili rozległ się strzał i ptak z przeraźliwym krzykiem nisko wzniósł się nad wodę. Aleksander powtórnie strzelił w lot. Spadła, ale nie przewróciła się: pływała, kwacząc żałośnie, bijąc złamanem skrzydłem i oglądając się na dzieci. Te spiesznie płynęły do niej zbite w gromadkę, po szyję pogrążone w wodzie. Aleksander nabił broń i jeszcze raz wystrzelił. Tym razem wywróciła się i rozpostarła skrzydła.

— Wiwat! Będzie obiad, jakiego Zosia już dawno nie miała!

Czapkę zdjął, na czapce broń kurkami położył i zaczął pospiesznie się rozbierać. Teraz dostrzegł dopiero zaszłe w dolinie zmiany.

Znikła mgła, ale niebo choć, czyste, miało brzydki stalowy połysk. Od wschodu spieszyły kłębuszki kędzierzawych, czarnych jak smoła obłoczków. W pogoni za nimi płynęły palące podmuchy wiatru. Z za gór, miedzianą piersią opierając się o ich szczyty, podnosiła się potworna czarno-ruda chmura. Dokoła niej uwijały się stada smolistych obłoków, a ona wyciągała kosmate łapy, jak gdyby chciała wszystkie je zagarnąć i w siebie wchłonąć. Leciała ku słońcu! Na cały widnokrąg rozpuściła skrzydła, a za nią cień siny biegł po ziemi, przykrywał góry, lasy, łąki i wody. Ogarnęła już pół nieba i pół ziemi, i spotkała się nakoniec z promieniami zachodzącego słońca. Na rozczochranej grzywie błysnęła szeroka, jak tęcza barwista przepaska, wybiegające z pod niej sploty wiatr szarpał i rozdymał, aż deszcz spadł zasłoną na zasępione oblicze i stopił w jedno cień ziemi i nieba. Niby gniewu spojrzenia przelatywały błyskawice; grzmot przybliżał się, rósł, potężniał.

Umilkło ptactwo, woda jeziora jakby zmartwiała, szuwary stały osłupiałe, z głębin lasu płynęły upalne wonie. — Rzesza szła, przybliżała się, pomrukując groźnie. Przed nią uciekał orzeł z rozpiętymi skrzydłami. Migotał w słońcu jak złoty, a był tak wysoko, że wydawał się drobny, niby motyl. Wicher zerwał się, wyjąc i uderzył o ziemię.

W tej samej chwili Aleksander wracał z kaczką do brzegu. Nagle podniosła się fala, pianą bryznęła mu w twarz i przeskoczyła przez głowę. Musiał jak pies wziąć zdobycz swoją w zęby, gdyż obie ręce stały mu się teraz potrzebne. Płynął z trudnością, fale uderzały o niego, długie śliskie wodorośle obwijały mu członki niby macki zbudzonych ze snu polipów. Ostatnia fala z taką siłą rzuciła go na trzciny, że poranił sobie dłonie i kaczki o mało nie zgubił. Dzwoniąc zębami, ubierał się pod strugami ulewy i z przerażeniem myślał o Zosi.

A tymczasem uragan ryczał, wył, tarzał się po dolinie. Grom huczał, przelatywały błyskawice, las bałwanił się, jak woda. Aleksander z trudnością odnalazł wiaderko, które schował był w krzakach i zmoczony do nitki, pędem puścił się ku domowi. Nie mógł jednak biedz szybko: tamowały mu drogę potoki, spływające z pochyłości, kamienie, lecące pod nogi, gałęzie; oczy zalane wodą, oślepione błyskawicami nie widziały ścieżki przed sobą — zdawała się bez końca; serce biło w piersi, jak młotem.

Minął wreszcie gaj, co mu widok na sadybę zasłaniał i w świetle błyskawicy zobaczył swoją jurtę przez mglistą deszczu zasłonę. Odetchnął swobodniej: piorun jej nie zapalił, stoi. Zwolnił kroku, ale gdy był już blisko, gdy minął węgieł domu, stanął jak wryty. Szyba z okna była wyjęta, deszcz i wicher wpadały do wnętrza, na stole stała zapalona łojowa świeca. Ajaks siedział na ziemi i żałośnie spoglądał w okno; ujrzawszy pana, wstrząsnął uszami i zaskomlał radośnie.

Drżącymi rękami Aleksander oderwał zamek ode drzwi.

Zosi nie było w izbie.

— Zosiu!... Zosiu!... — wołał, przeglądając wszystkie kąty.

Wyskoczył na deszcz i pobiegł drogą prowadzącą do jurty Żabiego Oka.

— Zosiu! Zosieczko!... powtarzał z jękiem prawie, Ajaks biegł za nim, skakał i lizał mu ręce.

Obszukał wszystkie skrytki w opuszczonej siedzibie, obmacał ściany, dziury, kąty; zapalił łuczywo, wołał, hukał. Wszystko daremnie.

— Boże mój, Boże!...

Prawie obłąkany wypadł znowu na ulewę.

— Zosiu!... Zosieczko!... — wołał ochrypłym już głosem, lecz krzyk jego ginął w ogólnym zamęcie. Usłyszał go tylko Ajaks i stanął przed panem z podniesionym do góry łbem. Aleksander spojrzał na niego i nagle błysnęła mu myśl.

— Ajaks szukaj... szukaj Ajaks! Pójdź, szukaj...

Pies machał ogonem, zdawał się wyrażać gotowość, szczeknął nawet, ale się nie ruszył... Nie wiedział, o co chodzi.

Aleksander pospiesznie wrócił do domu, odszukał koszulkę Zosi i dał psu powąchać.

— Ajaks pyf!... na masz!... szukaj!... — koszulkę przytykał mu do pyska i ręką ukazywał w ciemność. Sam biegł naprzód i psa przyzywał. Ten zupełnie stracił głowę, rzucał się jak szalony, ale wciąż do pana powracał.

— Ajaks, szukaj.. poczciwy... kochany psina... — jęczał, przytulając rozpaloną twarz do mokrego cielska zwierzęcia.

Pies podskoczył z radosnym skowytem i liznął go w twarz, potem rzucił się na ziemię i podniósł wszystkie łapy w górę. Dawno już pan go tak nie pieścił, takich łaskawych słów nie mówił. Aleksander schwycił się za głowę.

— Nie... nie! — powtarzał z rozpaczą, czując, że nogi gną się pod nim. Siadł na pniu ściętego drzewa i zakrył oczy ręką, by choć na chwilę oderwać się od otaczającego go łoskotu burzy i zebrać myśli. Siekła go zimna ulewa, blask błyskawic przez zamknięte powieki do mózgu wnikał, szum burzy unosił gdzieś niezmiernie daleko.

— Nie... nie!... Trzeba pomyśleć..., jakie zna drogi. Może poszła do łachy... Może tam, gdzie już ją raz znalazłem.. Może zobaczę gdzie ślady... Powoli... spokojnie... Muszę być spokojny!...

Powstał i zaczął iść nachylony, z oczyma wlepionymi w ziemię, starając się przebić wzrokiem ciemności, rozświecane chwilowymi błyskawicami. Z niecierpliwością wyczekiwał każdej, zdawało mu się, że wieki upływają między pojawieniem się jednej, a drugiej, a tymczasem one były tak częste, jak uderzenia krzyżujących się mieczy. Ajaks też nos spuścił ku ziemi, biegł i drogę obwąchiwał. W jednym miejscu dłużej się zatrzymał. Wielka błyskawica oświeciła kałużę wody i tuż obok czochratej kępy coś drobnego, białego na ziemi; lecz znikła nim oczy jego to coś rozpoznać mogły. Więc nie ruszał się i ze wzrokiem wlepionym w to miejsce czekał następnej. Z pierwszym błyskiem rzucił sic i podniósł... lalkę Zosi. Teraz ukląkł i jeszcze niżej się nachylił i czekał blasku... Miał nadzieję zobaczyć ślad... (Dok. nast.).



W PĘTACH

przez

Wacława Sieroszewskiego (Sirko).

12)

(Dokończenie).

Palcami szukał ostróżnie, czy nie namaca zagłębień w błocie. Zdawało mu się dotykać czegoś, co mogło być śladem, ale tak rozmytym, że trudno było rozpoznać.

— Zosiu!... Zosiu!... Ajaks!...

Psa nie było. Wezwany, wyskoczył naprzód, lecz nie przybiegł. W świetle błyskawicy zobaczył go Aleksander, stojącego w pewnej odległości, machał ogonem i patrzał na niego.

— Szukaj... szukaj, Ajaks! — zawołał.

Słyszał, jak pies rzucił się w zarośla i coś jakby jęk doleciało go stamtąd. Tłumiąc oddech, posuwał się, słuchał i nawoływał.

— Zosiu!... Ajaks, szukaj!...

Ajaks znów podbiegł do niego, potem odskoczył, stanął nad czemś dużem i ciemnem i szczeknął.

Tak, to było jego dziecko! Leżała w błocie, rękami obejmowała sobie główkę, a twarzyczkę wtuliła w kępę; drżała i jęczała cichutko. Porwał ją na ręce radośnie, przycisnął do piersi i pędem zawrócił ku domowi.

Rozebrał dziecko w mgnieniu oka, położył na suchą pościel i rozniecił suty ogień. Potem rzucił przemokłe i zabłocone ubranie i wytarł się ręcznikiem do sucha. Ożywcze ciepło rozlało się po jego zmęczonych i skostniałych członkach. Postawił czajnik na ogniu. Zosia jęczała wciąż i miała oczy zamknięte.

— Zosieńko... dziewczynko moja!... Otwórz oczki... spojrzyj!... To ja, twój ojciec...

Powieki dziecka drgnęły, ale nie otworzyły się; podniosła rączkę i położyła ją na jego twarzy. W takiej postawie ucichła powoli i usnęła. We śnie dostała gorączki i nawet bredzić zaczęła. Aleksander wlał jej w usta roztworu chiny, której proszek chował, jak skarby największe. Sam, by się pokrzepić wypił wzorem krajowców spodek ciepłego topionego masła i zjadł kwaśnego mleka. Nad ranem zdrzemnął się przy dziecku.

Obudził go krzyk.

— Ojczulku, ja się boję!... Niedźwiedzie chodzą wokoło... ryczą... Nigdy nie będę... Nie bij mię, ojczulku!...

Siedziała na pościeli i wyciągała do niego rączki. Gęste złote włoski rozsypały się dokoła jej główki, twarzyczka pałała, w błękitnych oczach malował się przestrach. Była żywym obrazem matki i przypomniała mu tę chwilę, kiedy zobaczył Julję w jurcie jakuckiej, witającą go z wyciągniętymi ramionami.

Zaczął ją pieścić, kołysać na ręku, aż utulił i znowu usnęła. — Sam jednak nie mógł już spać. Wyszedł przed dom, by się orzeźwić, pomyśleć.

Dolina wstała po burzy czysta, odświeżona, radośna. Niebiosa miały błękit skąpanego w wodzie bławatka; nigdzie ni kurzu, ni tumanów nie było śladu. Znikły żółte plamy spalenizny, kwiaty podniosły główki i barwne, jaskrawe, jak gwiazdy zabłysły wśród traw. Zioła obmyte, wilgocią napojone, rozkosznie rozwijały kędzierzawe swe liście. Lasy, oblane wschodzącem słońcem, rzucały cień chłodny, złotymi przenizany strzałami. W głębi odzywała się kukułka, świergotały ptaki. Poranek był piękny, iż myślećby można, że to wiosna zjawiła się powtórnie.

Aleksander z rozkoszą wdychał powietrze, jak kryształ czyste i patrzał — wpatrywał się w bory, jak gdyby chciał oczy widokiem ich nasycić. Postanowił odejść stąd. W jednej chwili rozważył i zdecydował. — Niech z nim robią, co chcą. Musi ratować dziecko! Jeśli go ukarzą za samowolę i wyślą gdzie dalej, to gorzej pewnie nie będzie. Postara się na nowem miejscu starych nie popełnić błędów, stworzyć sobie inne, bardziej ludzkie stosunki. Ze wszystkiem się pogodzi, wszystko przeczeka... Ta placówka stracona. Zwyciężyli go; czuje, że się lękać zaczyna, czuje się słabym i winnym. Lepiej odejść, niż poprawiać omyłki... Więc odejdzie, jak można najprędzej. Ale jak? Nie chciał iść do księcia i żądać by go odwieźli. Nie dla tego, żeby mu wstyd było, bo było mu obecnie wszystko jedno; nie dlatego, żeby wątpił, iż Jakuci odwieźć go zechcą, ale że do księcia było 15 wiorst, że mógł go nie zastać, koni nie dostać, a nie chciał już czekać ani dnia, ani godziny. Pójdzie więc prosto piechotą, a dziecko na plecach zaniesie. Noszą przecież cyganki niewiele mniejsze dzieci, a Węgrzy całe paki towarów. Dziecko nie mogło ważyć więcej nad funtów pięćdziesiąt. Cóż to znaczy dla niego! i co znaczy siedmdziesiąt wiorst lasu w takiej potrzebie!

Zabrał się niezwłocznie do pakowania w kufry rzeczy, które zostać miały; wiązał je sznurami i opieczętowywał. Gmina odstawi je do zarządu Ułusa, a potem pójdą dalej jego śladem. On tu nie wróci... Niech co chce będzie, nie wróci!...

Broń wyczyścił, nasypał pełen róg prochu, odlał kilka kul i nabił jedną lufę śrutem, a drugą — kulą na wypadek niedźwiedzia. Nóż obejrzał,

naostrzył, odzież poprawił, do obuwia przyszył nowe podeszwy i rzemyki; zapiął się, pas podciągnął, fałdy wyrównał, aby wszystko leżało gładko, nic nie wisiało, nie zawadzało, nie czepiało się. Kaczkę, wczoraj zabitą, ugotował i połowę zjadł, połowę włożył do tłomoczka. Zosię nieprzytomną i rozpaloną, jak węgiel, zmusił wypić trochę rosołu, potem ją ubrał we wszystko czyste i suche, posadził na pled i jego końce zarzucił sobie na plecy. Do pasa przyczepił z jednego boku kociołek, z drugiego — kobiałkę z kory brzozowej, szczelnie zamkniętą, w której znajdowały się resztki masła i kwaśnego mleka. Broń powiesił na ramię, kij wziął do ręki i świsnął na psa.

Na zakręcie stanął i obejrzał się na swoją sadybę. Nie czuł żalu. Spojrzenie jego obojętnie przesunęło się nad błękitną przepaścią Ałdanu, objęło potężne modrzewie gaju, ubogą jurtę, obsypaną ziemią i trawą porosłą, której okna, jako przezorny gospodarz, zabił deskami. Przez tyle lat oglądał co rano wzgórek sosnowy i łąki naprzeciw i srebrne jezioro.. i nie wzruszało go, że nie zobaczy ich już nigdy. Ale pomyślał o Jakóbie który w tym głuchym kącie miał pozostać zupełnie samotnym Jakże mu będzie przykro, gdy się dowie, że odszedł, może nazawsze... bez pożegnania, bez uścisku!.. I wzrok jego w przelocie spoczął na polu jęczmienia Gęste, bujne kłosy pokotem legły po burzy, lecz już w niektórych miejscach próbowały podnieść i wyprostować zgięte w pałąk łodygi. Ciepły, łagodny wietrzyk głaskał je i dźwigał, szeleszcząc długiemi ich wąsami. — W duszy Aleksandra zadrgało bólem uczucie. Tu on znał każde źdźbło, każdy kłos, sam pełł je i pielęgnował, każdą niemal grudkę ziemi własnymi przecierał rękami; na każdym wbitym kołku zostawił cokolwiek własnej duszy i ciała! Odejdzie, a piołuny znowu pole zarosną, płot Żabie Oko rozbierze i na kominie spali. Nic po nim nie zostanie... prócz legendy, że był tu ongi obcy szatan, co ziemię chciał zabrać Jakutom, nie spał po nocach, błądził i straszył, a miał córkę złoto-włosą i złego, czarnego psa...

Machnął ręką i ruszył naprzód szerokim, żołnierskim krokiem, chyląc się mocno pod ciężarem swoim na plecach.

Nawałnica wygładziła ścieżynę. Pierwsze dziesięć wiorst przeszedł swobodnie, ale im dalej zapuszczał się w las, rósł upał i droga stawała się coraz gorszą. Uszedł jeszcze trzy wiorsty i poczuł, jak strasznie wyczerpują się jego siły.

Dziecko nie wracało do przytomności, rozpalone jej ciałko piekło go w plecy, jak zarzewie; końce pledu wrzynały mu się w odparzone ramiona. Wszystkie drobiazgi, tak lekkie przy wyjściu, nabrały ciężkości ołowiu, zaczęły przeszkadzać i odzież w dół ciągnąć. Gdzie mógł oprzeć się, stawał i odpoczywał choć chwilkę, ale myśl o powrocie ani przychodziła mu do głowy. — Uszedłszy trzecią część drogi, zatrzymał się dłużej, rozniecił ogień, posilił się i zrobił herbaty.

Dalsza droga prowadziła między górami. Drożyna biegła po spadzistości. Wysoki, gęsty las wznosił się z obu stron, a tam — na dole, w głębi błyskała woda między wierzchołkami drzew i falami zieleni. Słońce zachodziło w parowie. Chciał na noc zatrzymać się nad brzegiem wody. Szedł raźno, mniej czując rany i odparzenia na nogach.

Stanąwszy nad rzeczką, nałamał przedewszystkiem modrzewiowych gałązek i urządził Zosi posłanie, poczem rozpalił ogień i postawił Ajaksa na straży przy dziecku, a sam poszedł w zarośla, gdzie widział przed chwilą kuropatwy. Wkrótce powrócił z jedną i miał smaczną wieczerzę. Dziecko nic jeść nie chciało. — Noc przesiedział oparty o drzewo, zdjął tylko obuwie, aby ochłodzić stopy, broń położył przy sobie, a śpiącą dziewczynkę trzymał na ręku, bojąc się ją położyć na wilgotnej ziemi. Ajaks cisnął się także do niego, wystraszony niezwykłością otoczenia. Kilka razy wydało mu się, że słyszy wycie, głosy jakieś w zaroślach i podejrzany plusk i trzask nad rzeką. Kładł wówczas dziecko na trawę, dorzucał świeżych gałęzi na ogień i z odwiedzionymi kurkami, a mocno bijącem sercem słuchał i wpatrywał się w ciemności.

O wschodzie słońca ruszył dalej. Upał był straszny, on czuł się tak wyczerpany, że chwilami myślał, iż nie dojdzie. Najcięższym jednak do przebycia okazał się kawałek drogi od pierwszych płotów do pierwszej sadyby.

Szedł, zacisnąwszy zęby, spuściwszy oczy, aby nie widzieć kołków i żerdzi — drażniących dowodów bliskości ludzi, których wciąż jeszcze nie było.

— Cudzoziemiec! A jaki zmęczony!... Coś niesie... Dziecko! — zawołała stara Jakutka, gdy chwiejnym krokiem wszedł do jurty i zdjął z pleców pled z Zosią.

— Co się stało?... Piechotą, mój Boże!... Odpowiedz!... Czy nieszczęście jakie? — pytała.

Znali go tutaj; nieraz dawniej, przejeżdżając, konia u nich karmił.

Nie odpowiadał, nie mógł mówić: wzruszenie ściskało mu krtań. Napoili go zimną śmietanką, posadzili na ławie. Powiedział im, że spieszy z chorem dzieckiem do zarządu Ułusa, skąd ruszy dalej do miasta, że przyszedł piechotą dla uniknięcia straty czasu.

Gospodarz kiwał głową zdziwiony. Do Ułusa zostało jeszcze pięć wiorst, więc Jakut za pół rubla zgodził się odwieźć go natychmiast i zaprzągł swego byka do skrzypiącego drewnianego wozu.

Tu już zaczynała się kultura.

— Pan sam przyjechał? Skąd-że się pan dowiedział? — przyjął go ze ździwieniem pisarz Ułusa. Myśmy przecie nie posłali jeszcze księciu papieru... Okazji nie było...

— Jakiego papieru?

— To pan nie wie?... Wielka łaska... pozwól pan powinszować sobie... Wracasz do kraju!...

Wargi i ręce Aleksandra poczęły drżeć, jak liść osinowy.

— Pokażcie papier.

— Owszem, chętnie... Oto on... A ja myślałem, że się pan dowiedział, że towarzysze z miasta napisali! Dawno należało wysłać, mówiłem wójtowi, ale... sianożęcie, nikt nie jechał!... A cóż gospodarstwo?

Aleksander głowę pochylił, czytał, a gorzkie, palące łzy padały na papier.

Świack 1 maja 1896 r.



